1248

PAMIĘTNIK

JANA CHŁOPICKIEGO

z czasów Kampanij Napoleona.

WILNO.
1849.

1248

Jan Chłopicki.

PAMIĘTNIK

JANA CHŁOPICKIEGO

Porucz. 7 Półku Ułanów Wojsk Francuzkich,

Z CZASÓW KAMPANIJ NAPOLEONA.

Spisany z ustnych opowiadań przez jego syna.

Z portretem Autora.

Ozdobiony winjetami Horacego Werneta.

Wydany staraniem i kosztem

ROMUALDA PODBERESKIEGO.

WILNO.

Drukiem Józefa Zawadzkiego.

1849.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia, po wydrukowaniu, exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno, 1848 roku 4 Czerwca.

Cenzor, Professor b. Uniwer. Wileńskiego Radźca Kollegialny i Kawaler JAN WASZKIEWICZ.

MUZEUM NIEBOROWSKIE

Exemplarzy podrobionych, podpisem i herbem pieczęci mojéj nie opatrzonych, prawnie poszukiwać będę.

1248

STARYM TOWARZYSZOM BRONI

poświęca

AUTOR.

. . . . . .

Nie tu miejsce rozwodzić się nad znaczeniem epoki, do któréj niniejszy *Pamiętnik* należy: weszla ona w skład historji i zostala spuścizną następnych pokoleń. Poprzestanę na kilku słowach, ktore tu z obowiązku wydawcy załączam.

Winienem wytłómaczyć się z mojego pojmowania podobnego rodzaju pamiątek i wydania niniejszego *Pamiętnika*.

Z jakimkolwiek celem pisane są Pamiętniki spółczesne, zawsze się przyczyniają do wybitniejszego przedstawienia epoki; był-li u pisarza cel polityczny, historyczny lub obyczajowy; jakkolwiek drobnostkowe szczegóły tu nagromadzone, składają się po większéj części z osobistych wrażeń, zawsze jednak dają one wierne malowidło epoki i dopełniają te obrazy, jakich historja w swych granicach pomieścić nie może, a które, ściśle rzeczy biorąc, w najobszérniejszém znaczeniu do historji należą.

Gdyby nawet pamiętniki tego rodzaju nie miały na celu sprostowania lub odkrycia nowych faktów historycznych, to będąc tylko wiernym spisem osobistych wrażeń i przygod, uwijających się po odległych ziemiach ziomków naszych, już tém samém byłyby ciekawym pomnikiem dla kraju, rodziny i potomków. Sam ów indywidualny sposób widzenia i przedstawiania wypadków, wybitnie

charakteryzujących czas, wyobrażenia i osobisty charakter opowiadacza, wyłączne położenia i okoliczności, mięszanina wypadków politycznych z prywatnemi, czynią podobne Pamiętniki nader interessownemi, i o tysiąc procentów wyższemi, od wszystkich owych wymysłów ze świata urojonego, niezgodnych ani z obyczajami naszemi, ani z duchem narodu naszego, któremi nowocześni romansopisarze przed niedawnym czasem zawalali feljetony gazet, a nieudolni ich tłómacze księgarnie nasze. I gdyby wszyscy ci starzy bywalcy, którzy pozostali jeszcze z czasów kampanij Napoleonowskich, spisali sami, lub podyktowali dzieje swéj przeszłości, jakaby to ciekawa powstała falanga tych pełnych interessu powieściowego, naiwnych opowiadań, w którychby się tak świetnie wydała ich wytrwałość i wierność, w téj chlubnéj sprawie wierności i poświęcenia się, wartéj lepszego losu!... I czyż nie byłoby to najdroższą pamiątką dla każdego, komu miłém jest wspomnienie przeszłości?— I czyż nie należy się śpieszyć, gdy śmierć każdodziennie kościstą swą dłonią, dławi przypruszonych siwizną weteranów polsko-francuzkiéj armji!

I nie należy się obawiać podobnego rodzaju pracy, nawet wcale odwykłemu od trzymania pióra w ręku wojakowi. Niech go nie zastrasza forma literacka wykonania. Opowiadanie powinno być łatwe, naturalne, bez wymysłów i przykras stylowych; po prostu, jak kto co widział, lub słyszał, w czém był przekonany, jak gdzie kto był i działał, jakie kraje, ludy i obyczaje widział, jakich przygód w dalekich pochodach swych doznał, jakich scen wojennych był świadkiem — wszystko to przedstawione w opowiadaniu prostém, bez frazesowości akademicznéj i *retorycznych ornamentów*, przedstawi całość żywą, dramatyczną, która powodzenie i popularność autorowi i książce zapewni. I kiedy tu nie idzie o krasomówstwo i wykończenie literackie, to któż z naszych rodaków nie byłby

w stanie poświęcić chwil kilku życia w zaciszy wiejskiéj na zostawienie pamiątki, często nader pouczającéj, rodzinie swéj i spółbraciom, a imieniowi swemu zapewnić honorowe miejsce w literaturze ojczystéj? (*).

Oto moje rozumienie i cel, z jakim ogłaszam niniejszy *Pamiętnik*; może przykład autora pobudzi nie jednego starego Napoleonistę; mam nadzieję, że odezwa moja próżną nie będzie, a ja, jako wydawca, ofiaruję w tym względzie starania moje.

Co do niniejszego *Pamiętnika*, pobieżnie i potocznie opowiedzianego,—zarzut, jaki mógłby kto zrobić co do wyrażeń zfrancuziałych, byłby niesłusznym pod pewnym względem. Był to, i jest jeszcze, język wszystkich officerów polskich, którzy w wojsku polsko-francuzkiém Gwardji Napoleona służyli; owszem, te wyrażenia wojenne, przyjęte i utarte, nadając energją żołnierskiemu opowiadaniu, są jedną z cech charakterystycznych podobnego rodzaju pamiętników. Krytyka, coby chciała krępować pod tym względem opowiadacza-żołnierza i wymagać *puryzmu*, byłaby nie na swojém miejscu. Kazić je nowoczesną redakcją,—coby potrafił uczynić, każdy niepojmujący obowiązku swego i ducha pism podobnego rodzaju, wydawca,— byłoby świętokradztwem. Czyż słusznie byłoby wymagać po wojaku, co całe swe życie spędził na kiereszowaniu wrogów, a czasem i swoich dobrych znajomych, *poezyjnéj* i *krasomowczéj* czystości języka? I gdyby się on silił takim językiem mówić lub pisać, czyżby nie utracił jednéj z najpiérwszych swego opowiadania, zalet,— energji żołnierskiego stylu, i czyżby się nie wystawił na śmieszność studenckich pretensij??...

Pamiętników tego rodzaju jest u nas niemało, jako i osób z owéj epoki pozostałych, ale pisane

(*) Jako wzór pamiętników *obyczajowych*, (obecny jest *historycznym*), mógłbym wskazać dwa wyborne pamiętniki *Wacława Borejki* i *Karola Micowskiego*, ogłoszone niedawno przez P. *Michała Grabowskiego*, w Warszawie.

w rozmaitych prowincjach, są rozproszone po różnych pismach perjodycznych, lub spoczywają w zaciszach wiejskich, *ad meliora tempora,* oczekując pośmiertnych wydawców. Ciekawą bylaby kompletna wiadomość o *Literaturze* tych Pamiętników, z ocenieniem ich treściwéj wartości; być może, że jeżeli nam czas i okoliczności pozwolą, zajmiemy się nią sami, przy którém z następnych wydań, jeżeli los cóś podobnego w ręce nam poda.

Niniejsza książka będąc owocem wspomnień pod stare lata Napoleonowskiego żołnierza, odpowiada, ile się mi sądzić godzi, wyżéj wskazanemu celowi. Cała treść ściśle wypływająca z epoki wypadków, które uświetniły oręż rycerstwa naszego, zaprawiona kolorytem osobistych wrażeń dzielnego żołnierza, czyni jego wspomnienia dla wszystkich interessownemi.

Tych kilka słów wstępnych nie mogę lepiéj zakończyć, jak słowami samego autora, ustnie do dzieci wyrzeczonemi, wraz po napisaniu Pamiętnika:

„Wszystko co tu znajdziecie, jest tylko szczą-
„kiem mego żołnierskiego zawodu; we trzydzieści
„lat przenoszę go z pamięci na papier,— a ten pa-
„pier, niech posłuży za pomnik, może już ostatniemu
„z dawnego rycerstwa polskiego!"

ROMUALD PODBERESKI
Wydawca.

Pisalem w Wilnie, 1848, 30 Listop.

TREŚĆ.

1807, 1808.

Zaciągnienie się w Warszawie do Gwardji Polsko-Francuzkiéj, pod komendę Półkownika Hr. Krasińskiego.— Pochód półku Krasińskiego przez Niemcy i Francję na półwysep Pirenejski.— Partyzantskie utarczki w Hiszpanji.— Poddanie się miasta Burgos.— Zdobycie wąwozu Samo-Sierra.— Rębacka przygoda.— Śmierć Wodza Hiszpańskiego Kastanosa.— Wejście do Madrytu.— Wdarcie się wojsk francuzkich na olbrzymie skały Sierra-Guadaramae.— Wkroczenie do Walladolidu.— Potyczki pod Rioseko i Bonawente.— Ucieczka Anglików z Hiszpanji . . . . . str. 3

1809.

Powrót do Francji.— Pochód do Niemiec.— Wejście do Wiednia.— Przejście za Dunaj.— Przecięcie Kommunikacji z Wiedniem przez spalenie mostu.— Głód śród wojska.— Z cudownym pośpiechem most zbudowany— Batalje między Aspern i Essling.— Batalja pod Wagram.— Zawieszenie broni w Schönbrunn . . . . . str. 19

1810, 1811.

Powrót do Francji.— Pochód do Hiszpanji.— Trudne i bezskuteczne uwijania się za Gerrylasami.— Odwrót za Pireneje.— Narodziny Króla Rzymskiego . . . . . str. 25

1812.

Pochód na północ.— Półk Łubińskiego w Połocku.— Utarczka z Rossjanami za Połockiem.—Retyrada z Połocka.—Partyzantskie obróty.—Polecenie dane Chłopickiemu odkrycia przejścia przez Berezynę.—Informacje starego wieśniaka.— Zdanie sprawy przed Generałem.— Brygada Generała Korbino przebywa Berezynę.—Cesarz w retyradzie.—Mosty się przerzucają na łożu Berezyny.—Rozwiązane Dramma.— Posępne i humorystyczne obrazki retyrady.— Żałobny gród Gedymina.— Kowno i Aleksota.— Przybycie do Warszawy. . . . . str. 33

1813—1814.

Zorganizowanie się półku Łubińskiego w Kościnie.— Pochód do Saksonji.—Bitwa Luceńska.—Zawieszenie broni.— Zwycięztwo Napoleona pod Dreznem.— Klęska pod Kulmem.—Generał Monmari daje polecenie Chłopickiemu przedarcia się przez niedostępną puszczę, dla wybadania poruszeń nieprzyjacielskich.— Polecenie wypełnione.— Krzyż obiecany.—Bitwa pod Lipskiem.—Śmierć Księcia Poniatowskiego.— Powrót do Paryża.— Wcielenie *ósmego* **polsko-francuzkiego półku w** *siódmy*, **pod komendę Majora Juppe.—Utarczki pod Trois, Leon, Rems, Soisson.—Retyrada.—Niewolnik Rossyjski.—Powrot do kraju . str. 55**

Przypisy.

1) Pojedynek w Burgos.—2) Uroczystość pamiątki batalji pod Austerlic w Paryżu obchodzona.—3) Niegościnny Angulem.—4) Pojedynek w Tylży i powitanie rodzinnych progów.—5) Ostatni pojedynek na cmentarzu w Powązkach.—6) Dwa żałośne epizody z przeprawy przez Berezynę str. 67

1807, 1808.

1805, 1808.

W roku 1806, kiedy Napoleon pobiwszy Prussaków pod Jena, ciągnął ku Warszawie, ja, podówczas jeszcze młodzieniec pełen ognia i zapału, podsycany świetném powodzeniem wojowników Zachodu, zrobiłem niezachwiane postanowienie zaciągnienia się w szeregi armji francuzkiéj. Zamiar ten jednakże niełatwo było doprowadzić do skutku, z powodu, iż Napoleon zawarłszy traktat pokoju w Tylży z Cesarzem Alexandrem, cofnął się w głąb Europy, a oprócz tego, że rodzice moi, których zostałem podporą, nie zgadzali się na oddalenie jedynaka syna. Ale popęd młodości i żądza zawodu

nie widziały tamy przed sobą. Jakoż idąc za przykładem większą częścią emigrującéj młodzieży naszéj, dnia 15 7bra 1807 roku, potajemnie opuściłem dom rodzicielski, a przebywszy Niemen pod Wieloną w powiecie Rossieńskim, udałem się do Warszawy i zaciągnąłem do konsystującego tam półku Gwardji Polsko-Francuzkiéj, pod komendę Półkownika Korwina Hrabiego Krasińskiego.

W Warszawie bawiłem tylko sześć niedziel. Ztamtąd pomaszerowaliśmy w oddziale Kapitana Dziewanowskiego przez Saxonję, Niemcy, Moguncję, do miasta francuzkiego Szantylji, slawiącego się szczątkami wspaniałego niegdyś zamku Kondeusza, z przestronnym źwierzyńcem i kanałami wykładanemi ołowiem, a ztąd do Hiszpanji. W pograniczném mieście francuzkiém Bajonie, dokąd na lato zjechało Cesarstwo, szwadron nasz, z powodu nieobecności kawalerji od Gwardji, wstrzymanym został dla pełnienia służby przy Cesarzu. A chociaż ten obowiązek był nieco uciążliwym, gdyż codziennie w eskorcie cesarskiéj we sto koni musieliśmy galopować po piaszczystém wybrzeżu morza, którędy się Napoleon zwykle przejeżdżał: jednakże, o błogie chwile pierzchnionego zawodu, z jakiémż upojeniem serce starego wojaka tętni do was i rozrzewnia się wspominkiem téj przychylności i popularności braterskiéj, jakiemi wielki nasz Przewodnik zwykł osładzać trudy i znoje swych żołnierzy!

Opisując pobyt nasz w Bajonie, nie mogę pominąć milczeniem, jak dnia pewnego, kiedy na po-

żar zdarzony w mieszkaniu cesarskiém zebraliśmy się na dziedzińcu, Cesarzowa Józefina postrzegłszy nas z pałacowych okien, rzekła do Napoleona: „Poczciwi Polacy nieodstępnie nas strzegą, trzeba ich pokrzepić trunkiem ojczystym," i wysłała nam przez adjutanta Chłapowskiego (*), kilka flasz ogromnych wódki gdańskiéj.

Z Bajony za przybyciem Dragonów i Grenadjerów od Gwardji, uwolnieni od służby, pomaszerowaliśmy przez St. Jean de Luz do piérwszego miasteczka hiszpańskiego, zwanego Yrun; daléj zaś idąc przez Tuluzę, Wittorję, piątego dnia stanęliśmy po tamtéj stronie gór Pirenejskich w Ponte-Corvo, miasteczku z fortecą, tak stromo położoną, iż szyltwach, któregośmy zrazu nie dostrzegli, jak mały punkcik majaczał w przestrzeni. Z Ponte-Corvo poszliśmy przez St. Marya do Breviesco, ztąd wracając, to nad morze ku Bilbao, to znów do Vittorji, mnóstwo mieliśmy drobnych partyzantskich utarczek, aż w końcu pod miastem Burgos 1) (**), dokąd Hiszpanie zebrali się w dość znacznéj sile i stawili nam czoło,—stoczyliśmy walną bitwę, przemogliśmy nieprzyjaciół, i miasto z fortecą było wzięte.

Ta była moja piérwsza batalja, któréj bój zacięty i ogień kartaczowy przez dwie godziny utrzymywany od nieprzyjaciela, aż dotąd jeszcze sza-

(*) Był to jeden z największych faworytów Cesarzowéj — często z chustką w pytkę skręconą za nim się pędzała, a ten z pod razów umykał.

(**) Patrz Przypisy na końcu.

moce po méj pamięci i posuwa wyobraźnię w lata niedoświadczenia, prawda, ale razem męztwa, zapału i determinacji!

Z Burgos przez Kaholtos i Willahos ruszyliśmy do Lerma, gdzie z powodu ucieczki mieszkańców, sami musieliśmy o żywność dla siebie się starać. A że miasto obfite było w wino, więceśmy chlebem pomiętym w tym napoju koni naszych karmili. Oprócz téj korzyści z samego wina, mieliśmy użytek z koszów winogronowych, gdyż w chłodne hiszpańskie noce, składaliśmy je w stosy, a przy rozdętém ognisku popijając *aquardiente forte* (mocną wódkę), z zakąską cébuli i chleba pieczonego z wołową żółcią (*), hucznie gwarzyliśmy o dokonanych już i czekających nas jeszcze czynach.

Z Lerma udawszy się drogą wiodącą do Madrytu, zastanowiliśmy się w wiosce Bocequilas, dokąd i Cesarz Napoleon tejże saméj nocy przybył; a za dostrzeżeniem znacznéj linji ogniów ciągnących się na szczytach gór Karpetanos, co oznaczało obóz nieprzyjacielski, tegoż samego wieczora wydano nam rozkaz dzienny, aby się przygotować na dzień następny do batalji, i aby półk cały jak tylko świtać zacznie, ubrany w wielkim uniformie, czekał danego hasła.

Noc całą niespano — żołnierze zajęci zadysponowaną wyprawą, zapomnieli o wypoczynku; nazajutrz zaś równo z brzaskiem, szwadron nasz

(*) W Hiszpanii chleb się piecze co pół roku, dla zakonserwowania więc dokłada się nieco wołowéj żółci.

(*chevaux legers*) przybrany w świetną paradę, za danym znakiem trębacza wyskoczył rzesko za wioskę, gdzie się znajdował Cesarz, a ztąd pod przewodnictwem Szefa Szwadronu Kozietulskiego, klusował blizko mili pod obóz nieprzyjacielski.

Hiszpanie słysząc tentent śpieszącego po twardéj kamiennéj drodze szwadronu naszego, a nie mogąc wyrachować dystansu, dla gęstéj mgły, otaczającj pod tę porę całą przestrzeń dokoła, zawcześnie rozpoczęli z baterji ogień kartaczowy, lecz że pędziliśmy z dołu pod górę, więc tylko naszę awangardę, i to po samych piórach kaszkietów, dosięgały wystrzały nieprzyjacielskie. Jednakże i to niebezpieczeństwo wprędce zatamowane zostało, gdyż Kozietulski stosując się do ordonansu Napoleona, rozkazał wstrzymać się u krawędziów gór, osadzonych nieprzyjacielem i posłał officera do Cesarza, prosząc o dalsze rozporządzenie. Hiszpanie tymczasem wystrzeliwszy kartaczami razy ze 30 z cztérnasto-działowéj baterji, umilkli nakoniec, a forpoczty swoje, które pod zasłoną mgły gęstéj nie poniosły żadnéj straty, niewidzialnie sciągnęli do armji. W godzinę potém powrócił officer z rozkazem dalszego awansu, lecz zaledwo postąpiliśmy kilkaset kroków, ujrzeliśmy w dwóch miejscach po dwie armaty nieprzyjacielskie z przekopanemi fossami, dla zrównania których wypotrzebowaliśmy kompanję pijonierów, a wtenczas skonfiskowawszy cztéry armaty, zabieraliśmy się w dalszą drogę, gdy w tę prawie chwilę nadjechał i Napoleon z jednym pół-

kiem piechoty linjowéj. Wtenczas rozkazano nam uformować się na prawéj stronie drogi, naprzeciw saméj baterji nieprzyjacielskiéj, a Cesarz ze swoją świtą obrał stanowisko *vis-à-vis* nas na stromym urwisku skały po lewéj stronie. Baterja nieprzyjacielska zaczęła na hazard strzelać, probując w różnych kierunkach: na prawo, na lewo, wprost, bliżéj i daléj. Napoleon zsiadł z konia i pieszo wydawał rozkazy, a gdy wystrzelono z góry i kula harmatnia padła blizko Cesarza, ten popatrzywszy na nią, zażył tabaki i rzekł: „No proszę, wszak to i Hiszpanie strzelać umieją, i gdyby nie mgła im przeszkadzała, to miejsce, na którém stojemy, byłoby wielce niebezpieczném." Po chwili zaś z wierzchołków nad nami stérczących zrzadka zaczął odzywać się ogień ręcznéj nieprzyjacielskiéj broni, któréj jeden wystrzał ugodził w same piersi Porucznika naszego Rudowskiego; dano rozkaz dwóm bataljonom piechoty iść w góry dla poruszenia nieprzyjacielskiego stanowiska; tu się już zaczął mocny ogień tak ręcznéj broni, jako też i baterji, mgła podniosła się w górę — nieprzyjaciel ukazał się oczom naszym, a Cesarz Polakom rozkazał zdobywać stanowisko. Droga była wązka, rozwinąć plutonów nie można było, musiano więc czwórkami w ściśnionéj kolumnie galoppować na baterję, która tak morderczy na nas wywarła ogień, iż grad kartaczów i kul harmatnich połowę szwadronu nam położył. Szef nasz Kozietulski stracił konia, a płaszcz jego od kartaczów jak siatka był

podziurawiony. Kapitan Dziewanowski stracił rękę po ramie i nogę po kolano. Kapitan Krasiński dostał kontuzję w krzyż i wywrócił się na mantelzak. Porucznik Krzyżanowski ugodzony kartaczem w czoło, poległ na miejscu. Porucznik Rowicki wpadł na harmatę stojącą przy drodze i tam kilkonastą postrzałami razem z koniem zabity został. Porucznik Nigolewski wdarłszy się na baterję począł rąbać kanonierów nieprzyjacielskich, lecz ci pochwyciwszy go i zadawszy jedénaście ran w głowę i w piersi, niepodobnego do żyjącéj istoty na drogę wyrzucili.

Pomimo jednak tak straszliwéj klęski, będąc przy boku swego wielkiego przewodnika, nie traciliśmy odwagi, a dokompletowani z innych szwadronów pod dowództwem dodanego nam ze Swity Generała, z nowym zapałem uderzyliśmy na Hiszpanów. Tą razą bataljon piechoty nieprzyjacielskiéj, dozwoliwszy nam zbliżyć się na trzydzieście kroków od wierzchołka skały, niespodzianie ukazał się na szczycie, a powitawszy straszliwym bataljonowym ogniem, wiszącą u stóp swoich garstkę, tak nieszczęśliwie nas wytracił, żeśmy we trzynastu tylko przedarli się do tego piekielnego stanowiska.

Tutaj nareszcie przy pomocy zasukursowanego bataljonu piechoty francuzkiéj, korzystając z nieładu rozerwanéj wtargnięciem się naszém armji, przebyliśmy wąwąz Samo-Sierra, a zdobywszy i porąbawszy artylerję i piechotę, rozproszyliśmy się za uciekającym w popłochu nieprzyjacielem, tak,

że jeden żołnierz upędzał dziesięciu strwożonych, którzy dobrowolnie oddawali wszystko, co tylko mieli przy sobie. W téj zdobyczy kolledzy moi odebrali sześć sztandarów wojskowych, a ja, dostrzegłszy w niewielkiéj odległości linję uformowanego przy drodze żołdactwa, mając przy boku dwóch kollegów, poskoczyłem czémprędzéj na to miejsce, i z wielkiém zadziwieniem rozpoznałem, iż to byli sami officerowie, sztabs-officerowie i kilku generałów hiszpańskich, ze złożoną bronią domagających się pardonu. Pomniąc na nieszczęsny los wojny, który i nas mógł jutro spotkać, z największą przyzwoitością i uszanowaniem dla rangi tych jeńców, odprowadziwszy nazad do wioski Samo-Sierra, oddaliśmy ich pod konwój piechoty. W tejże saméj wiosce, podczas owéj straszliwéj porażki Góralów, zdarzyło się mnie niespodzianie starć się z dwóma niedobitkami nieprzyjacielskimi. Jeden z nich uciekając z baterji w poprzek drogi, a nie mogąc dla pośpiechu wpaść do sieni przyległego domu, ukrył się pod wóz ammunicyjny hiszpański, a ulokowawszy się pomiędzy tylne koła furgonu, wytknął przez szprychy od koła swój karabin z bagnetem i brał mnie na cel, ja tymczasem dostrzegłszy to, skręciłem w bok o parę kroków mojego konia, i nie czekając aż skieruje drugi raz lufę w przeciwną stronę, ugodziłem z pistoletu w same piersi chytrego Hiszpana. Lecz zaledwom uśpiał uchronić się od niebezpieczeństwa, w téj prawie chwili drugi rzucił się na mnie z bagne-

tem, jednakże i tą razą wytrąciwszy oręż z ręki, tak silnie musnąłem mu po głowie, iż ucho aż do ramienia zwisło, a zwalczony odezwał się do mnie po niemiecku (był to Austryak w hiszpańskiéj służbie) „*Erbarme Dich, mach mich nicht, todt!*" (na Boga nie zabijaj mnie!). Zmiękczony tą prośbą nieszczęśliwego, zaprowadziłem go do ciemnych sieni przyległego domu, aby się tam ukrył przed zbliżającém żołdactwem, a sam poskoczyłem w głąb wioski, gdzie się przed jednym domem zebrało wojsko nasze. Tu kobiéta hiszpańska, chcąc się przypodobać zwycięzcom, wołała z okna: „*Wenguste aki dyneros — una plata* (chodźcie tu są pieniądze— same srébro); niektórzy szli i brali z pokoiku, który, na sążni trzy długi i na tyleż széroki, cały był zarzucony talarami w workach po pięćset sztuk w sobie mieszczących, a większa liczba gardząc ciężkiém srébrem w niedstatku złotych onzów, z próżnemi rękami odchodziła.

O milę drogi od Samo-Sierra napędziliśmy wóz dźwigany sześcią mułami, które od ciężaru tak były sfatygowane, iż ledwo się ciągnęły po piasczystym gościńcu; my jednakże nie zważając na ten ciekawy furgon, zajęci jedynie popłochem nieprzyjaciela, ruszyliśmy daléj, gdy tymczasem jeden z półku furjer B*, zwykle z pokorą chrześcijańską na ostatku jadący, zatrzymał zmykającego Hiszpana, a dostrzegłszy w nim jakieś zaambarasowanie się i trwogę, grożąc odwiedzionym pistoletem, kazał mu otworzyć furgon i z wielkiém podziwieniem zastał

go napełnionym worami złota; nie tracąc więc czasu, uchwyciwszy dwa spore związki, po tysiąc sztuk w sobie mieszczące (*), zabierał się w dalszą drogę, lecz w tę prawie chwilę nadjechał Marszałek Bessières, który uprzedzony, iż to była kassa nieprzyjacielska przez furjera skonfiskowana, oddał mu dwa tysiące sztuk złota i obiecał go przedstawić do krzyża. Tak to szczęście nie tylko nagradza męztwo i zasługi, ale często jest i niespodzianym trafem sprzyjającego losu.

Po batalji pod Samo-Sierra, tegoż jeszcze wieczora umaszerowawszy mil ośm, o północy stanęliśmy w Andilla wiosce, gdzie ogłoszono pamiętny rozkaz Cesarza zaliczenia półku naszego do staréj Gwardji (**). Awans ten był dla nas wielce zaszczytny, jak ze względu żeśmy się porównali z Gwardją francuzką, niechcącą dotąd z nowicjuszami się łączyć, tak też i z tego dowodu wdzięczności Napoleona ku Polakom, którzy krew swoją i życie dla niego sakryfikowali.

W Andilla zrobiwszy niewielki wypoczynek, udaliśmy się do Madrytu, który za nadejściem dwoch półków dragonów francuzkich, otoczyliśmy dokoła, stawiając po dwóch żołnierzy na każdéj widecie, dla tego, aby w razie śmierci jednego,

(*) Sztuka znaczy dwadzieścia *piassetów*, a *piasset* równa się 50 groszom polskim.

(**) Trzeba wiedzieć, iż w Gwardyi francuzkiéj, żołnierz musiał mieć albo pięć lat służby, albo pięć kampanij odbyć; w kampanji zaś sześć miesięcy liczyły się za rok służby.

drugi mógł donieść o obrócie zbliżającego się, pod komendą Generała Kastanosa, w liczbie sześćdziesięciu tysięcy, wojska nieprzyjacielskiego. Hiszpanie dostrzegłszy tak gęsto dokoła miasta rozstawione czaty, zaczęli na hazard z harmat strzelać do nas, tak, że musieliśmy być w ciągłym ruchu na dystansie dla widety przeznaczonym, aby się uchronić od téj straszliwéj kanonady. Jednakże w krótkim czasie, za przybyciem Cesarza odwołano nas z widety, uszykowano front, a zatoczywszy dwie wielkie haubice, tak trafnie wypuszczono bomby, iż te w sam środek ugodziły miasta.

Na tém się skończył dzień attaku; Napoleon do jutra odłożył swoje straszliwe hasło. „poddajcie się lub gińcie," a tymczasem nasz pólk i dwa półki dragonów odkomenderował do miasta Alkalla, na spotkanie tam awangardy Generała Kastanosa, ciągnącego w sukurs ku Madrytowi. Tegoż więc jeszcze dnia późnym wieczorem w największéj cichości stanęliśmy pod miastem, i ażeby się przekonać o poruszeniach nieprzyjacielskich, posłano natychmiast na patrol jeden pluton naszego półku, który Hiszpanie wzięli zpoczątku za awangardę Kastanosa, a otoczywszy go dokoła, zaczęli głaszczyć konie i przemawiać do żołnierzy. Jednakże w krótkim czasie omyłka się odkryła, tłumy ludu ze straszliwym okrzykiem rozbiegły się po wszystkich ulicach, i pluton nasz ścigany rozpasaną tłuszczą, utraciwszy jednego ze swoich, nazwiskiem Suryna, cofnął się w bramy miasta. Tu za danym rozka-

zem dwa półki dragonów, zsiadłszy z koni z nałożonemi bagnetami w ściśnionéj kolumnie obeszli wszerz i wzdłuż miasto, lecz znalazłszy je zupełnie już wtenczas uśmierzoném, wrócili na swoje stanowisko, a tak ranek ten cały najspokojniéj upłynął. W południe dowiedzieliśmy się, iż Kastanos inną drogą udał się ku Madrytowi, a więc zagrzebawszy śmiertelne szczątki towarzysza naszego Suryna, i usypawszy mu przyjacielskiemi dłońmi mogiłę, wymaszerowaliśmy z Alhalli w kierunku takim, aby wracając do Stolicy, bombardowanéj dnia tego przez Napoleona, wstrzymywać razem i wszelki sukurs nieprzyjacielski, śpieszący ku murom miasta. Tak niepokoiliśmy Hiszpanów przez wieczór i noc całą, zabierając im znaczne zastępy niewolników; aż wkońcu następnego ranka Madryt zdobyto i wojska nieprzyjacielskie w zupełną poszły rozsypkę. Smutnym skutkiem téj straszliwéj klęski była śmierć Generała Kastanosa: zrospaczeni na umyśle żołnierze posądzając o zdradę, rozszarpali go w części, a gdyśmy nazajutrz ciągnąc ku Madrytowi, zaszli do miasteczka Alvezo, zastaliśmy już tam usypaną mu z kamieni mogiłę. Taki był koniec tego znakomitego wojownika, przyczyniony nieznającą miary i granic wściekłością rozhukanego żołdactwa!

Po zdobyciu Madrytu wojsko nasze udało się na północ Hiszpanji, a przebywszy najwyższe góry w tym kraju Sierra-Guadaramae, ze szczytów onych, jak fala spadło z nowym zapałem na nieprzyja-

ciela (*). Piérwsza wygrana, którąśmy otrzymali w Waladolidzie, była potyczka pod Rioseko, ztąd postępując daléj ku obozowi nieprzyjacielskiemu, starliśmy się po kilkakroć z drobnemi oddziałami husarzy angielskich, aż wkońcu w okolicach Bonawente dwa plutony naszego półku, nadybawszy placówkę nieprzyjacielską złożoną z sześćdziesięciu ludzi, pod przewodnictwem szefów szwadronu Łubińskiego i Fredra, tak żwawo starli się na pałasze, iż w minut kilka trupy Anglików rzędami się słały na pobojowisku, a officer ich ugodzony w piersi aż do żeber, wkrótce także zakończył życie. Nasza utrata była prawie żadna, pod szefem Fredrem tylko ubito konia, a na Łubińskim faldy płaszcza posiekano na części. Nazajutrz, kiedy General angielski, widząc się z Półkownikiem Krasińskim, dowiedział się, iż cztérdzieści ośm naszych żołnierzy zwalczyło sześćdziesięciu wybornego wojska husarzy angielskich, nie mógł się dosyć nadziwić waleczności i tajemniczemu szczęściu tego niepokonanego wojska. Ale i téj stałości losu nie zawsze można było wierzyć. We dni kilka po po-

(*) Wdarcie się na te malowniczo-straszliwe skały, było jednym z najśmielszych czynów armji naszéj, albowiem oprócz nieprzebytéj ciaśniny wąwozu, u stóp którego gromadzą się chmur kłęby, a niebotyczne piramidy lodu przerzynają go na szczycie; pomimo walących się i bryzgających bystre strumienie lawin— tak straszny pod tę porę wypadł śnieg z zawieruchą, iż piechota tylko przeprawiła się w góry, a my musieliśmy przeczekać nim się oczyściło niebo i śniegi wezbrane popłynęły w ruczaje i potoki.

rażce husarzy, General francuzki Lefeur, komenderujący półkiem szaserów od gwardji, gdy ryzykownie pogonił za pierzchającym nieprzyjacielem, obskoczony przez zasadzkę ich obozu, musiał się przerzynać do odwrótu, lecz i tu dościgniony od zapalczywego żołdactwa, z całym swoim oddziałem został wziętym w niewolę.

Od Bonawente Anglicy zaczęli już śpieszną retyradę. Napoleon rozkazawszy dwóm dywizjom w kolumnach prawego i lewego boku zetknąć się nad morzem dla przecięcia kommunikacji armji angielskiéj z jéj okrętami, sam miał natrzeć z przodu, i zagnać tym środkiem spłoszone szeregi do matni; lecz że dywizje odcinające od morza o pół dnia się spóźniły, Anglicy więc, choć z wielką stratą i bez porządku, dopadli swoich okrętów, a tak w kilka chwil już ich nie było na Pirenejskim półwyspie.

Tu na ten raz wojna z Hiszpanją się kończy, a Napoleon wydaje nowe hasła Kampanji Niemieckiéj.

1809.

Dnia ósmego Stycznia tysiąc ośmset dziewiątego roku, przybywszy do Walladolidu, według otrzymanego rozkazu, wojsko francuzkie jakoteż i półk nasz podzielony na plutony dla eskortowania Cesarza, wyruszyły do Francji. Podróż ta pośpieszna śród gór i skał niedostępnych była jedną z najuciążliwszych, jakąśmy kiedy odbyli za Napoleona; co więcéj, że pluton w którym byłem umieszczony, mając piątego dnia stanąć w średzinie gór Pirrenejskich, musiał w tym chwilowym zakresie czasu przekłusować prawie połowę Hiszpanji i w Tuluzie czekać na Cesarza. Marsz więc ten tak był utrudzający, iż kiedyśmy stawali na popas, konie nasze leżąc zjadały obrók, a my także zasiliwszy się suchym chlebem, rozciągaliśmy się na ziemi. Z Tuluzy, prze-

ekskortowawszy tam Cesarza, wolniejszym już krokiem pomaszerowaliśmy w głąb' Francji; po kilkodniowéj zaś drodze, przybywszy do miasta Mont-de-Marsan, zabawiliśmy tam dni piętnaście dla ożywienia i odzyskania sił własnych, a ztąd w zupełnym już porządku przez Bajonę, Bordeaux, udaliśmy się do Stolicy.

W Paryżu zakwaterowano nas w koszarach zwanych *Ecole militaire*, w których wydano przez Cesarza dla całéj Gwardji wspaniałą ucztę; a tak zrobiwszy nie długi wypoczynek i opatrzywszy się w potrzebne wojenne rekwizyta ruszyliśmy dalszą drogą przez Strazburg za Ren, potém przez udzielne Księztwa Niemieckie i Królestwa Konfederacji Reńskiéj,— do Bawarji. Tam Arcyxiąże Austrjacki Karol przewodząc dwakroćstotysięcznéj armji rozpoczął kampanję; lecz porażony przez naszych pod Eckmühl i Ratysboną i rozbity pod Landshut cofnął się w głąb' kraju, a my dnia jedénastego Maja weszliśmy do Wiednia. Miasto było puste, Austrjacy zdejmując mosty cofnęli się za Dunaj, a Napoleon obrał sobie pomieszkanie w rezydencji Cesarza Franciszka, Szenbrun.

Dnia szesnastego Maja, dla zkomunikowania się z nieprzyjacielem, wydano rozkaz stawienia mostów pod Ebersdorf na trzech ramionach Dunaju: piérwszego dnia zaczęto robotę, ośmnastego ukończono, a dwudziestego Maja i następnéj nocy w liczbie trzydziestu tysięcy piechoty i sześciu tysięcy jazdy, przeszliśmy oznaczone mosty i stanęliśmy mię-

dzy wsiami Aspern i Eslling. Dwudziestego piérwszego Maja jedna część wojska nieprzyjacielskiego uderzyła na Aspern, którą bronił Massena, a druga na Eslling, zajmowany przez Lannesa. Tymczasem arcy-Xiąże Karol korzystając z gwałtownego pędu wezbranego Dunaju, dla zniszczenia mostów nieprzyjacielskich kazał puścić rzeką statki napełnione materjałem palnym, a tak w kilka chwil zostaliśmy odcięci od Wiednia i całéj naszéj armji, z małym zapasem amunicji i bez żadnéj żywności (*); ze wszech więc stron czekała nas straszna klęska, musieliśmy, albo od oręża nieprzyjacielskiego, albo od straszniejszego jeszcze głodu smutne kończyć życie. A przecież Bóg chciał inaczéj i wszystko jak sen przeminęło: 21-go most zbudowano, 24-go z Wiednia dostawiono nam żywność i ammunicję i tegoż dnia, przy pomocy zasukursowanego korpusu Udinota, na całéj linji między dwiema wioskami rozpoczęliśmy generalną batalję; a 25 Maja dokonaliśmy ją, uściełając pobojowisko kilkanastą tysiącami nieprzyjacielskich trupów i zabierając zeń 20,000 niewolnika, 40 armat i 10 sztandarów. Ze strony naszéj zginęli, oprócz znacznéj liczby żołnierzy, ulubieniec Cesarza waleczny Marszałek Lannes i cztérech jenerałów; Marszałkowie zaś Massena i Bessières, pięciu jenerałów i około dwudziestu tysięcy żołnierzy rannych leżało w Wiedniu i jego o-

(*) Tu po raz piérwszy piekliśmy na żarze końskie mięso i tym frykasem z przysypką prochu odpędzaliśmy głód śmiertelny.

kolicach. Ostatnię stanowczą bitwę, która rozstrzygła dalszy los kampanji, stoczyliśmy pod Wagram 5 i 6 Lipca; 12 Cesarz Franciszek prosił o zawieszenie broni; 14 Października w Schönbrunn zawarto przymierze, a 20 Listopada wyruszyliśmy do Francji.

1810, 1811.

1810, 1811.

Za powrótem swoim na zachód, Napoleon zastał Hiszpanję w nowém zaburzeniu. Gdy wieści, które się o ciągłych szkodach i zamachach rozchodziły, coraz to większéj nabierały wagi, Cesarz musiał pomyślić o środkach, jakby te awanturnicze zawichrzenia niepodległego narodu zniszczyć, albo choć w części uśmierzyć. Dano więc stanowcze rozkazy, aby po uczynieniu niedługiego wypoczynku, cała armja pomiędzy którą i szwadron nasz pod komendą Stokowskiego, oddzielony od reszty półku, mającego wkroczyć do Holandyi, pośpieszyły na Pirrenejski półwysep. Jakoteż odetchnąwszy dni kilka w Paryżu na kwatérach, *au fauxbourg de St. Germain*, po odbyciu uroczystéj ceremonii pamiątki batalji pod Austerlic 2), dnia 23 Grudnia 1809 roku, wy-

ruszyliśmy raz powtórny do Hiszpanji 3). Przeszedłszy góry Pirrenejskie, miasta: Vittorja, Ponte-Corvo, Miranda, Breviesco i Burgos, przybyliśmy do miasta Castro-Cheris, w którém mając tam przeznaczony sobie garnizon, koszary nasze ufortyfikowaliśmy od napadu Gieryllasów, i ztąd już zaczęliśmy wojenne wycieczki przeciwko tym rozhukanym do najwyższego kresu, powstańcóm.

Główniejszych zastępów nieprzyjacielskich było cztéry: piérwszy pod przewodnictwem Miny, drugi Kurry, trzecim dowodziła kobieta Kuwilla, która podobnie Dziewicy Orleańskiéj, uniesiona namiętną miłością Ojczyzny, nócąc wojenne piosenki, z sztandarem w ręku, zapalała żołnierzy odwagą. Najstraszniejszy zaś oddział, jak go nazywano *piekielny*, był pod komendą Borregi, Hiszpana tak zapamiętale mściwego, a razem wspaniale myślącego, iż kiedy za nieustraszone męztwo i tysiączne poświęcenia się dla kraju, żądano go zrobić officerem, wzgardził tą nagrodą, powiadając: „dotąd się nie nazwę nawet piérwszym żołnierzem, aż nad ojczyzną moją chorągwię zbawienia rozwieszę!" Przykład jego odpowiadał słowom. Najpiérwszy wszędzie, gdzie niebezpieczeństwo groziło, z orężem w dłoni jak błyskawica wpadał i gromił. Najmniejsze poruszenie nieprzyjacielskie było mu wiadome, a usłużność i obrótność mieszkańców, w pewnym i krótkim czasie udzielały mu wiadomości. Jeżeli w jakiém małém miasteczku słabą zastawiono załogę, stawała się nazajutrz niezawodną ofiarą Bor-

regi. Dnia pewnego, kiedy Borrego widząc, iż większa część garnizonu naszego w inną udała się stronę, zrobił silną zasadzkę pod miastem i posłał do nas z zawiadomieniem o swojém przybyciu; my tymczasem, złączywszy się z nadeszłą resztą garnizonu, wysłaliśmy naprzód mniejszy oddział, i gdy nań wypadł hufiec Hiszpanów, pośpieszyliśmy mu na pomoc, a rozpędzając powstańców, obskoczyliśmy ich dowódzcę, który razem z swoim towarzyszem pod sztyletem mężnego mameluka zginął. Hiszpanów w téj potyczce zginęło kilkaset, a kilkadziesiąt niewolnika odesłano, dla uczynienia exekucji, do Burgos. Dawniéj wszystkich zabieranych powstańców wieszano za miastem na wielkiéj szubienicy, mieszczącéj cztérdziestu ludzi, lecz że mieszkańcy, pośpieszywszy pod szubienicę, często żywych jeszcze odrzynali, ztąd też rodzaj śmierci odmieniono, wprowadzając natomiast rozstrzelanie, i to w taki sposób, iż exekucja odbywała się przed murem, na ten cel wystawionym, aby kula po wystrzeleniu daléj lecieć nie mogła. Gdy już osądzony nie żył, kładziono trupa z powrozem u szyi na wóz o dwóch kołach, i ztąd go odwozili sami Hiszpanie dla powieszenia na wielkiéj szubienicy. Tak to zemsta i rozpacz ożywiały męztwem nacjonalnych zapaśników; jak lwy młodzi wojownicy, albo rzucając się na nieprzyjacielskie zastępy zwyciężali, albo ginęli za honor i wolność ojczyzny!

W ogólności ciężka to i niepomyślna była dla nas kampanja. Wojsko francuzkie po wszystkich

prowincjach kraju rozłożone, wszędzie jednak otoczone było ukrytymi nieprzyjaciółmi. Mieszkańce miast i wiosek uwiadamiali prawda o kryjówkach Geryllasów; lecz albo skupioną ich siłę przedstawiali w zupełnie małéj liczbie, tak, że my wyruszywszy w kilkanaście koni, musieliśmy się cofać, lub też zdradliwiéj jeszcze, nimeśmy pośpieli uderzyć na zasadzkę, już ta opatrzona w żywność i amunicję przez usłużnych mieszkańców rozpraszała się chwilowo, by na przeciwnym zupełnie punkcie zebrać nanowo do boju swe siły. Często się zdarzało, iż w pogoni za nimi będąc na jednym wierzchołku skały, widzimy ich obozujących na drugim, ale choć to na pozór dystans bliski, mil parę jednak zajmuje, i nim z jednéj góry kolując, wejdziém tak samo na drugą, oni tymczasem postrzegłszy nasze poruszenie, zbiegają z wierzchołka, i kryją się w skał wyłomach. Późniejszą porą mając z sobą na koniach trzy-funtowe harmatki strzelaliśmy do oddalonego nieprzyjaciela, ale i z tego zysk był mały,— jak tylko od piérwszego wystrzału jednego lub parę ludzi zabito, natychmiast nie czekając nowego attaku, retyrowali się i znikali z oczu naszych. Tak upędzając się za temi „obrótnymi proteuszami" nie tylko, że były napróżne usiłowania zniszczenia ich i podbicia, ale oprócz tego i wojsko nasze drąc się i wieszając po niedostępnych skałach w przeciągu onych wyzuło się zupełnie ze wszelkich zapasów wojennych, a znaczna liczba kawalerji naszéj zdemontowana przez wycieczki, musiała wracać po konie

do Francji; w téj liczbie i ja, straciwszy swego wierzchowca w utarczce pod miasteczkiem Bellorau wrócilem do kraju, i przybyłem do swego garnizonu w mieście Szantylji zostającego.

Pod tę porę, roku 1811 Marca 20, narodził się Napoleonowi z powtórnéj żony Marji Ludwiki austrjackiéj Król Rzymski (*). Cała Francja klasnęła w dłonie— poruszone radością umysły budowały olbrzymie nadzieje z połączenia Francji związkami krwi z koroną Austrjacką, nic przewidując, niestety! tak smutnéj i niepodobnéj do wiary następności!

(*) Półkownik nasz hrabia Krasiński, natenczas już Szambelan *Dworu*, posiągnąwszy po zmarłym swoim teściu Małachowskim ogromne dobra i skarbiec starożytnych klejnotów; w dzień narodzin syna Napoleona, przybrawszy w strój bogaty karła na małym koniku, u którego czaprak axamitny karmazynowy, pochodzący jeszcze z zabytków Sobieskiego, cały był ozdobiony perłami i złotem,— posłał tego jezdzca na Ordynans do Króla Rzymskiego.

MUZEUM
WIEBORG

1812.

1815

Napoleon stał już na szczycie potęgi, posiadał olbrzymią przewagę w Europie, i jedna tylko Rossja zawadzała niejako w przedsiębierczéj polityce jego. Niezbędnym przeto wypadkiem była wojna Francji z Rossją; jako też Napoleon poczytując zniesienie systematu kontynentalnego przez Cesarza Alexandra, za zerwanie związków przyjaźni, zapowiedział nowę, najznakomitszą w dziejach nowożytnych, wyprawę. Na przygotowaniach do niéj zeszło półtora roku. Wojsko Francuzkie, mające wojować Rossję, wynosiło z górą pół miliona, gdyż oprócz sprzymierzonych zastępów, wielką armję powiększono uformowaniem dziewięciu półków ułanów. W liczbie tych, ósmy półk ułanów rozkazano formować Tomaszowi Łubieńskiemu i pozwolono mu wybrać na

podofficerów do nowego regimentu żołnierzy z gwardji Półkownika Krasińskiego. Ja widząc, iż w tym półku niczego doczekać się nie można, a przesłużywszy lat cztéry i odbywszy trzy kampanje, bez najmniejszego za te ważone trudy wynagrodzenia, przemieściłem się także do półku Łubieńskiego, z awansem wachmistrza szefa.

1812 Roku, dnia 5 Czerwca, półk nasz wyruszył z Szantylji na garnizon do miasta Sedan, i tam nimeśmy sporządzili księgi temu półkowi potrzebne i wyexercytowali żołnierza, ubiegło nam kilka miesięcy. Z Sedan prosto już wysyłano nas oddziałami na kampanję Rossyjską, ja byłem w ostatnim oddziale. Przebywszy Tylżę 4) złączyliśmy się z naszym półkiem w Połocku, pod komendą walecznego Marszałka Udinota; jednakże on niedługo nam przewodził, gdyż będąc w pewnéj potyczce z nieprzyjacielem ranionym, ustąpił komendę sławnemu z rozwagi i polityki wojennéj Guwjonowi Sęsir. Właśnie, przypominam sobie, kiedyśmy stali na prawym brzegu Dźwiny, General Korbino posyłał mnie do niego z doniesieniem, o poruszeniach nieprzyjacielskich na naszém prawém skrzydle, otoż on powiedział mi: „iż to jest rzecz bardzo naturalna, gdyż Rossjanie mają brać Połock; jednakże, dodał, brygada Generała Korbino niechaj przejdzie na lewą stronę Dźwiny, w kierunku ku Dryssie (*).” Jako-

(*) Tu mnie awansowano na podporucznika, nominację Cesarz Napoleon podpisał w Moskwie 25 Septembra 1812 roku.

też ledwośmy wymaszerowali w tamtą stronę, w przyległym lesie nieprzyjaciel ukazał się oczom naszym; na chwilę wszelkie poruszenia ustały, lecz kiedy piechota francuzka wyciągnęła prostą linję przez las i w takim kierunku, maskując trzy bawarskie armaty, któreśmy mieli z sobą, postąpiliśmy w głąb lasu; nieznacznie ognie ręcznéj broni rozpoczęły się nad głowami naszemi. To jedno zatrzymało nas w marszu i tylko, wyszedłszy na pole, uformowaliśmy się, widząc strzelającą do nas artylerję rossyjskę. Piérwszy strzał przeszedł rykosze, w drugim armatnia kula urwała głowę koniowi u officera obok mnie stojącego i mozgiem tym obryzgała twarz moją, a trzeci wystrzał przechodząc takie rykosze nad głowami naszémi, urwał nogę jednemu z naszych kollegów. Kiedy piechota francuzka głębiéj zaszła, artylerya i kawalerya rossyjska zaczęły się retyrować, a przeprawiwszy się przez rzeczkę koło młynu, most na niéj spaliły, zagradzając takim sposobem dalszy awans nieprzyjacielskiego wojska. My niemogąc postąpić daléj postawiliśmy swoje armaty na mogile między drzewami, lecz że to miejsce było wyniosłe, otoż kawalerya do maskowania użytą być nie mogła; dla tego więc mnie z porucznikiem Nowickim posłano pod armaty. Nieprzyjaciel tymczasem urządziwszy swoją bateryę na drugiéj stronie rzeki dał ognia do nas, my odpowiedzieliśmy także; i tak wszczęła się zawzięta kanonada. Rossyanie mając oprócz ręcznéj broni ze trzydzieści armat pewnoby przeważyli nad nami, lecz że karczma za-

słaniała nas z przodu, otóż gęste ich wystrzały zupełnie nam nie były szkodliwe. Komendant jednak widząc, iż w tak bezskutecznem starciu, niepotrzebnie się ryzykujemy, rozkazał nam cofnąć się do odwrótu, jednakże i ten krok ostateczny był dosyć trudny, gdyż nieprzyjaciel korzystając z retyrady całego oddziału, mógłby nam wszystkich ludzi wystrzelać. Otóż użyliśmy jedynego środka, komenderując po jednym koniu z każdego szeregu, w taki sposób, iż następny nie piérwiéj ruszał, aż piérwszy się cofnął, co nas tak zręcznie salwowało od gradu kul nieprzyjacielskich, iż żadnego żołnierza nie straciliśmy w odwrócie, mnie jednakże nie zupełnie szczęśliwie się udało, albowiem gdym ostatni galopował pod górę, w chwili prawie połączenia się ze swoimi, kula armatnia dosięgła mojego konia, a urywając mu tylnią nogę zrzuciła mnie na ziemię, ja żałując swego bogatego siodła, chciałem zabrać je z sobą, lecz kilka powtórzonych wystrzałów, zmusiły jak najprędzéj zemknąć z tego miejsca. Cała jednakże przestrzeń płaszczyzny, aż do samego lasu była niebezpieczną; kule odbijając rykoszety gradem się sypały na naszéj stronie, a ja przy dostrzeganiu tylko zdaleka kurzawy uderzających rykoszetów, umiałem się uchylić od niebezpieczeństwa. Nakoniec mając już las blizko przed sobą ujrzałem półk Kirassierów francuzkich, którego officer stojący na przedzie, postrzegłszy mnie umykającego od rykoszetów, zawołał dość sardonicznie: „niémasz się Pan czego lękać, wszak tak odległe wystrzały dosięgnąć nie mo-

gą. W téj saméj prawie chwili kula odbijając rykosze świstnęła mi nad uchem, a lecąc daléj ubodła w same piersi konia pod rezonującym Kirassjerem. Smiałem się wówczas mocno z jego odwagi, przypominając mu strategiczne prawo kanoniera, iż w razie potrzeby może podnosić na wyższy gradus armatę.

Pożegnawszy pólk Kirassierów ruszyłem daléj szukając naszych loźnych koni, lecz te poszukiwania były napróżne; żołnierze wiozący bagaże pólku naszego, powiedzieli mi, iż służący mój z końmi udał się z bagażami korpusu na trakt wileński. Cóż było w takim razie począć? Służący kapitana prowadził klacz siwą, wziąłem więc ją od niego, a przytroczywszy jakieś ruskie skonfiskowane siodło, pośpieszyłem wczwał do swoich.

Korpus nasz tymczasem wyciągał z Połocka. W nim także dała się słyszeć kanonada; Rossjanie chcąc utrudzić retyradę naszą zaczęli puszczać ogniste kule do mostu, przez który przeprawiało się wojsko nasze. Po przejściu Dźwiny Korpus nasz udawał się drogą ku Lepiowi, gdzie i my od Dryssy dla połączenia się mieliśmy pośpieszyć, lecz w tém raptownie oddział kawalerji rossyjskiéj wpadł w lewe skrzydło szeregów naszych. Przytomny nasz Pólkownik postrzegłszy to, zawołał na ochotnika do szarży, a tak szesnastu nas officerów rzuciło się na błędną nieprzyjacielską garstkę. Rossjanie ciśnięci naszym natarciem poszli w rozsypkę, lecz gdyśmy jeszcze gwałtowniéj ich naparli mając przed sobą bród na-

pełniony dębowymi pniami, musieli się przezeń przeprawiać; a tak poplątani w krzakach wywracali się z końmi i ginęli w téj przepaści. My tymczasem rozpędziwszy tych nieproszonych gości, wróciliśmy na swoje stanowisko i natychmiast brygada nasza pod dowództwem Generała Korbino odkomenderowaną była ku Dokszycom, dla uwodzenia nieprzyjaciela partyzantskimi obrótami, aby takim sposobem ukryć przed nim, w jaką korpus nasz udał się stronę. Tak przemykaliśmy w rozmaitych kierunkach, aż dopóki awangarda Czyczagowa nie starła się z Dąbrowskim z Bobrójska do Borysowa dążącym; utarczka ta zupełnie się naszym nie udała. Dąbrowski ciśnięty przeważającą siłą cofnął się na trakt do Lepla, a my chociaż pośpieszyliśmy mu na pomoc, lecz że ten już był na tamtéj stronie Borysowa, nasza zaś brygada liczyła tylko sześćset koni, otoż nie byliśmy w stanie stawić czoła awangardzie Czyczagowa; nie tracąc więc czasu poszliśmy wzdłuż rzeki Berezyny szukać jakiegokolwiek przejścia. Generał Korbino zapytał naszego Półkownika, czy niéma w swoim półku jakiego Litwina, któryby znał tę pozycję i mógł ułatwić naszą przeprawę przez Berezynę? Półkownik przypomniawszy, że ja pochodzę z Litwy, przedstawił mnie Dowódzcy, a tak otrzymałem od Generała polecenie, aby objechać brzegi rzeki i odkryć środek przeprawienia się tejże nocy przez onę. Polecenie to było nieco na pozór przytrudne, gdyż w tak oparzelistéj i przestronnéj rzece, nieświadomemu miej-

scowego położenia, trudno było wynaleźć bród wygodny do przebycia. Jednak tak się szczęśliwie stało, iż podjechawszy kilkaset staj na wybrzeże, napotkałem jakiegoś poczciwego staruszka, który łódką miał się przeprawić na drugą stronę. Otoż ten mi ukazał bród, kędy wieśniacy zwyczajnie trzody swoje przepławiają, i upewnił, iż z jednéj i drugiéj strony brzegi dosyć są płytkie, a tylko sam środek i to na kroków sto nie więcéj, jest nieco głębszy. Zasiągnąwszy taką wiadomość, pośpieszyłem z nią do Generała, a zdawszy mu z mojéj wycieczki sprawę, otrzymałem rozkaz na przodzie całéj brygady, udać się w bród na drugę stronę rzeki do Sciudzionki. Jako też Generał sam naprzód przejechał czółenkiem, a brygada za moim przykładem wpław przeprawiła się na drugą stronę. W Sciudzionce zapaliwszy jakąś starę budowę, ogrzaliśmy się i osuszyli nieco, a ztąd nie tracąc czasu, gdyż przed świtem należało przejść las i uniknąć nieprzyjaciela, ruszyliśmy daléj. Generał przeznaczywszy mi sześciu ludzi i jednego przewodnika ze Ściudzionki, rozkazał udać się naprzód, dla wybadania poruszeń nieprzyjacielskich, a jeśliby się trafiło przerzynać przez zasadzkę nie trwożąc się, na zapytania widet rossyjskich, odpowiadać ich językiem i kłusem bez ustanku, chociażby nawet i strzelano, maszerować daléj. Nie tracąc ani jednéj chwili poskoczyliśmy wgłąb lasu, brygada nasza tuż szła za nami, a że ścieżka kręcąca się w zaroślach była niezmiernie wązka, otoż jak gęsiorem maszerowa-

liśmy po jednym koniu. Cała noc ubiegła nam najspokojniéj i ledwo tylko nad rankiem dostawszy się na gościniec, usłyszałem tentent klusującéj kawalerji. Będąc pewnym, że się Rossjanie przybliżają, gotowałem im śmiałą odpowiedź,—jakie jednakże było moje zadziwienie, gdy szpica postrzegłszy mnie, odezwała się po francuzku: „*halt là, qui vive!*" Był to nasz korpus, który od Lepla śpieszył ku Borysowowi. Generał Korbino w tejże chwili rozmówił się z Marszałkiem: Dąbrowskiego półk postawiono na przedzie, my plutonami uformowaliśmy się za nimi, i tak w ściśnionéj kolumnie pomaszerowaliśmy daléj. Zaledwośmy uszli kilkaset kroków, nieprzyjaciel ukazał się przed nami i attak się rozpoczął; lecz Rossjanie za trzecićm natarciem poczęli się retyrować, a że grobla po za młynem była wązka, otoż Rossjanie nie mogąc się razem przeprawić rozdzielili się na dwie gałęzie: jedni poszli do Borysowa i przebywszy most spalili go i zalokowali się w okopach, druga część piechoty z trzema armatami i oddział kozaków, udali się drogą po za Berezynie, ku Sciudzionce. Brygada nasza poszła za nimi, ale nie mając sił odpowiednich, zaniechaliśmy zaczepkę, i opodal tylko badaliśmy kierunek przeprawiającego się wojska. Kozacy przepłynęli naprzód, późniéj, za pomocą długich powrozów, dnem rzeki armaty przeciągnięto na drugą stronę, a naostatek piechota na podanych sobie przez kozaków koniach także się przeprawiła. To się przeciągnęło aż do północy; na drugi dzień koło obia-

du weszliśmy znowu do Sciudzionki, i tu jużeśmy się doczekali awangardy zbliżającéj się wielkiéj armji. Król Neapolitański przysłał do naszego Generała, zalecając, ażeby jak najprędzéj pośpieszył na spotkanie Cesarza przed Borysowem i zdał sprawę z przeprawy brygady naszéj przez Berezynę, kędy mogłaby i cała armja odbyć swoją retyradę. General Korbino nie czekając ani chwili, wziąwszy mnie z sobą jako ordynansowego officera pośpieszył ku Borysowowi. O pół mili od miasta spotkaliśmy Napoleona; Korbino ujrzawszy Cesarza idącego pieszo, zsiadł z konia i zbliżył się do niego, dla zdania swojéj wojennéj sprawy. Ja tymczasem obskoczony przez Świtę Cesarską, także z kolei opowiadałem naszę ciekawą przeprawę przez nieprzebytę na pozór Berezynę. Na tém opowiadaniu zeszło nam niepostrzeżenie pół mili, i gdyśmy już byli w mieście, Cesarz, siadłszy na konia, kazał siebie prowadzić do Sciudzionki. Nie sposób jednakże było za dnia pośpieszyć do wioski, otoż Cesarz z całą swoją świtą zajechał na nocleg do przyległego dworu; General Korbino także się udał za nim, i ledwo o północy wróciliśmy się do Sciudzionki.

Nazajutrz z brzaskiem, kiedy już armja cała przybyła do wioski, na wybrzeżu Berezyny ujrzeliśmy stojącego w zielonym surducie Przewodnika naszego. Wydano rozkaz, z przygotowanego przez noc materjału, jak najrychléj przeciągać mosty na rzece; pijonjery więc wymierzywszy głębinę rzeki, zaczęli rzucać się wpław z kozłami do wody. Na

każdą sztukę przeznaczono po cztérech ludzi, któremi officer stojący na brzegu komenderował, jak wypadało, to *à droit*, to *à gauche*, a kiedy zawołał *lance*, w tę chwilę opuszczano koziół i stawiono go na miejscu, gdy tymczasem inni zaciągali belki, kładli deski i przykrywszy je kulami słomy, nowym rzędem desek zarzucali po wierzchu. Wszystko to szło z tak mistyczną szybkością pod czarodziejskim okiem obecnego Monarchy, iż w godzin kilka na szerokiém łożu Berezyny most był przerzucony. Już mieliśmy się przeprawiać przez przygotowane przejście, gdy raptownie na drugiéj stronie rzeki ujrzeliśmy bieżący z traktu mińskiego oddział Kozaków z trzema armatami: jeszcze się jednak nie uśpieli zatrzymać, gdy już nasze pozycyjne działa powitały ich niespodzianą gościnę, a tak podetonowana garstka zostawiwszy wszystkie trzy armatki od wystrzałów naszych popsute, co najprędzéj się zrejterowała, i brygada nasza naprzód przeprawiła się na drugą stronę; za nami piechota, część Artylerji, a nakoniec i cała kawalerja gwardji z Cesarzem.

Ze Ściudzionki prowadziły dwie drogi: jedna w lewo na Mińsk,— i tam okopy nieprzyjacielskie; druga w prawo na Wilno. Półki, co były w stanie potykania się z nieprzyjacielem, poszły pod okopy, aby zamknąć drogę Rossjanom i takim sposobem zabezpieczyć bagaże, Artylerję i resztę zdezorganizowanéj armji, w retyradzie onych ku Wilnu. Dla śpieszniejszéj zaś przeprawy sporządzono jeszcze i drugi most na rzece, a tak po niedługiéj chwili, wszyst-

kie wojsko nasze przeprawiło się na tę stronę Berezyny 5).

Rossjanie tymczasem z okopów rozpoczęli silną kanonadę; cztérnaście szwadronów nowo-przybyłych od Wilna kirassjerów francuzkich stało na odwodzie do walki, a nasza brygada zatrudniając nieprzyjaciela flankierowała aż do nocy. Straty, jakieśmy ponieśli dnia tego, były dość znaczne, gdyż oprócz ręcznych ogniów, grad kul armatnich od strony okopów, tak gęsto nas dosięgał, iż pomimo wszelkiéj ostróżności, wielu z nas w téj nieszczęśliwéj poginęło chwili. Nad rankiem usłyszawszy z tamtéj strony mostu kanonadę, utrzymującego arjergardę Marszałka Wiktora, zwołano nas na trakt wileński, i ztąd już kompletną zaczęliśmy retyradę. W początkach samych pomimo zupełnéj dezorganizacji, staraliśmy się o ile możności utrzymać porządek w naszym odwrócie, ale po umaszerowaniu mil kilku, kiedy żołnierz głodny i koń niekarmiony wycięczeni, zaczęli upadać na siłach, kiedy z jednéj strony przemykające oddziały Kozaków, to znów mróz, coraz się więcéj wzmagający, trapiły wycieńczone żołdactwo; wszystko to, tak osłabiło naszą armję, iż w niektórych półkach po kilkunastu tylko ciągnęło się niedobitków, a wszystka reszta rejterowała się jak mogła najwygodniéj dla siebie, aby się gdziekolwiek samym pokrzepić, i konie swoje nakarmić. Ja jechałem z drugim officerem, kollegą moim, z drogi postrzegłszy w niewielkiéj odległości stóg siana sterczący, pośpieszyliśmy w tę stronę, lecz

się pokazało, że ten marzony dobytek oddzielała przed nami rzeczka. Nie mogąc dla cieńkiego i śliskiego jeszcze lodu przejść zwyczajnym sposobem na drugą stronę, usiadłem na gołoledzi, a popchnięty przez mego kollegę, przymknąłem do przeciwnego brzegu; powrót z dobytkiem był bardzo łatwy, bom siano uwiązał w tręzelkę, a za pomocą sznurka ciągnionego przez mego kolegę przesunąłem się nazad. Tak mieliśmy zasiłek dla koni; jeszcze się w sakwach znalazło kawałek chleba, i tylko brakowało cóś ciepłego, aby się pokrzepiwszy, ruszyć w dalszą drogę. Jakoteż szczęśliwym trafem nadjechał w tę prawie chwilę Francuz, z ogromną ćwiercią wołowego mięsa, a że potrzebował siana dla konia swojego, otoż zrobiliśmy zamianę na jego smakowity specyał,— i tak rozpaliwszy ognisko, przy wyśmienitym frykasie, wspólną odbyliśmy biesiadę.

Nie długo jednak zostawaliśmy na miejscu, naścignieni przez Kozaków, zmuszeni byliśmy wrócić do armji,— i ztąd już przez dni kilka maszerowaliśmy bez przerwy. Mrozy tymczasem coraz więcéj zaczęły się wzmagać; spożywszy ostatki wyschłego chleba, po całych dobach, jak straszne mary ciągnęliśmy się bez zasiłku. Piekielna śmierć zajrzała nam w oczy, trzeba więc było przemoc wstręt natury i podechłem ścierwem końskiém hamować głód rozdzierający wnętrzności. Było dni kilka takich, kiedym ja sam, rozpłatawszy pałaszem udo końskie, kryłem się z niém przed zgłodzoną zgrają, i z żarłoczną pastwą ogryzałem pogniłe szczątki. Pewnego

wieczoru, było to już po zachodzie słońca, w samotnéj wycieczce mojéj, zdybałem się z Półkownikiem naszym Łubińskim, co to otrzymawszy ranę nad Berezyną,— ledwo teraz połączył się ze swoimi. Mróz bolom jego straszliwie dokuczał, prosił więc mnie, abym gdziekolwiek wynalazł mu ciepłe schronienie; a że tuż dymiła się chata, otóż zawiodłszy go do niéj, a było nas sześć osób, jako to: Półkownik, ordonans Półkownika, kapitan, ja i dwóch Półkowników legji nadwiślańskiéj, zatarasowaliśmy od Francuzów drzwi mocno i nakarmiwszy znalezioném sianem naszych koni, ułożyliśmy się do spoczynku. Tymczasem *zgłodzony ordonans* Półkownika, niemogąc zasnąć spokojnie, począł po kątach szukać jakiegobądź dobytku, i z wielkim podziwem naszym z ukrytego zapieczka wyciągnął spory worek z żytem, nie tracąc więc czasu ja i kapitan poskoczyliśmy z naszego posłania; tuż w rogu domu stérczały kamienne żarna, otoż w chwil kilka jużeśmy wymleli mąkę i zapaliwszy w piecu, piekliśmy smakowite bułki chleba. Każdemu się z nas dostało po dwie sztuki, a że były dość spore, więc przynajmniéj na dni kilka mieliśmy zabezpieczenie od *głodu*.

Nazajutrz równo z brzaskiem ruszyliśmy daléj;— odtąd już różnie się nam szczęściło. Były zamożniejsze okolice, gdzieśmy znajdywali pożywienie, jak dla siebie, tak też i dla koni naszych; to znów spotykaliśmy taką nędzę i spustoszenie, iż wycieńczone żołdactwo, nie mając przez dni kilka żadnego pożywienia, w śmiertelnych konwulsjach, rzędami się

słało na drodze. Zima tymczasem coraz stawała się sroższą,— śniegi i zawieje zatarłszy ślady głównego traktu, tamowały nam przejście, więc kto mógł sporządzał sobie sanki, bo tym tylko środkiem wydobywał się z przepaścistych zaspów, ja także przyrządziłem do swego konia malutkie saneczki i za pomocą tych już dociągnąłem aż na trakt wileński *czarnym* zwany. Ujechawszy mil kilka, nie daleko drogi, ujrzałem w głębi lasu dość schludnie zabudowany dworek. Z niewypowiedzianą więc radością pośpieszyłem pod ten, jak sądziłem, spokojny uchronek,— by i zasilić się nieco u zamożnego gospodarza... i wypocząć w ciepłym kąciku. Nie tak jednak spokojne było to ustronie, jak mnie się wydawało. W podwórku już doszły uszu moich jakieś pomięszane odgłosy, a gdym wszedł do pokojów, z wielkim podziwem zastałem ogromną kompanję francuzkich niedobitków, gnuśnie się przewalających na rozesłanéj słomie. W alkowie się ukryła gospodyni z dwiema córkami i przy nich znalazłem szefa batalionu z legji nadwiślańskiéj, Rogulskiego. Czuleśmy się ziomkowie powitali, a zrobiwszy wspólną naradę, jakimby sposobem pozbyć się téj rozhulanéj czeredy, wyszedłszy do piérwszéj izby, w obec nich zacząłem od niechcenia opowiadać, jako tuż za lasem nadybał nas oddział Kozaków, że pastwiąc się nad nędznymi niedobitkami, wszystkiéj piechocie wyliczyli straszliwe batogi, i że ja tylko, za pomocą mego szybkiego konia, uśpiałem uniknąć od téj sromoty.

Postraszeni tą wiadomością Francuzi, ani jednéj chwili nie czekali w tém, tak niebezpieczném schronieniu, i upakowawszy się co najprędzéj, ruszyli w dalszą drogę. My tymczasem nie mając żadnéj przeszkody, przekąsiwszy smaczne śniadańko, położyliśmy się nieco wypocząć w wypróżnionéj izbie. Przy odjeździe prosiła mnie gospodyni, abym zrobił jéj tę łaskę i jedną z jéj córek, zawiózł po drodze w poblizkie sąsiedztwo, do jéj brata, gdzie były schronione jéj niektóre sprzęty; z wielką ochotą przyjąłem jéj propozycję, a przywdziawszy nabyty tu od krawca kożuch barani i żydowską czapkę, jak nowy *Donkiszot*, pojechałem z moją piękną Dulcyneą. Ledwośmy się zakręcili w dziedzińcu „kochanego stryjaszka", z okien maleńkiego dworku ujrzeliśmy stérczące brody czatujących kozaków. Nie zwlekając więc ani jednéj chwili, zwróciłem mego bystrego konia, a tak, choć brodacze pędzili się za nami, lecz nim wyśpieli wyminąć piérwszy wzgórek, jużeśmy znikli im z oczu i szczęśliwie wrócili do siebie. Rogulski wyglądał mnie niecierpliwie, jakoteż nie czekając długo, uczęstowani przez gościnną gosposię ciepłą kawą i opatrzeni w chleb, masło i inne podróżne przysmaczki, ruszyliśmy w dalszą drogę. Rogulski siadł do moich sanek, a człowiek jego sporządziwszy do swojego konia drugie saneczki jechał za nami. Ledwośmy odjechali kilkadziesiąt kroków, przy zwrócie na gościniec znowu oddział Kozaków ukazał się przed nami. Ja co najprędzéj rozprzągłem konia i wierz-

chem już pomknąłem nazad, a biédny Rogulski utraciwszy swego człowieka, który się w las ukrył, piechotą sadził po śniegu. Niebezpieczeństwo jednak w prędce minęło, Kozacy pociągnęli w inne strony, a ja wróciwszy do odprzężonych sanek i przyzwawszy swego kolegę— ruszyłem daléj. Przez kilka dni następnych naszéj podróży, nie spotkaliśmy już żadnych przygód, i tak przybyliśmy dość szczęśliwie do Wilna.

Miłe i smutne razem dotknęło nas uczucie, witając te szare mury starego grodu, z którego tak niedawno jeszcze rozwinąwszy sztandar postrachu szliśmy wojować północ,— a dziś, jak straszliwe widma roztrwonionéj potęgi, zmięci śmiercią,— własne ślady zaścielamy trupami własnymi! Nie bawiąc więc długo, tegoż jeszcze wieczoru opuściłem ten przybytek żałoby, i udałem się trockim gościńcem do Kowna. Że zaś, dla złéj drogi, nie sposób było jechać daléj sankami, otóż kollegę swego zostawiłem w mieście, a sam daléj puściłem się konno. Wprędce jednak utrudziła mnie ta jazda po nawianych sumiotach. Jakoteż zjechawszy w bok do jednego dworku, dostałem tam saneczki i pożywiwszy się nieco razem z ułanem naszego pułku, któregom tu zastał, w saneczkach już puściłem się w dalszą podróż.

Tegoż dnia jeszcze stanęliśmy w Kownie;—ułan wynalazł mi kwatérę z téj strony rogatek nad brzegiem Wilji, i tam posiliwszy się i ogrzawszy się,

postanowiliśmy odpocząć. Po chwili jednak raptowne zrobiło się zamięszanie: Kozacy wdarli się za rogatki i zaczęli strzelać do miasta. Ułan mój nieczekając, dosiadłszy swojego konia, połączył się z Francuzami, którzy zaczęli ze swojéj strony puszczać wystrzały. Ja wybiegłem także do stajni po konia, lecz jakiż był mój przestrach i zadziwienie, gdym zastał drzwi zostawione otworem i konia nie było przy żłobie. Domyśliłem się łatwo, iż taką gratkę przyczynił mi nierozważny ułan, nie tracąc więc ani chwili, pośpieszyłem w głąb miasta śledzić za moim zbiegiem, jakoteż obiegłszy całe prawie miasteczko, nakoniec w pewnym ukrytym zaułku, postrzegłem umykającego mojego konia, który pomimo wszelkiéj przynęty nie chciał się zatrzymać, i tylko fossa, kończąca drogę, podała go w moje ręce. Ucieszony tą odzyskaną zgubą, która stanowiła jedyny warunek mojéj dalszéj podróży, gdy się już Kozacy uspokoili zupełnie, opuściłem Kowno. Przy przejeździe rogatek spotkałem jednego z polskich pułków Kapitana Smażewskiego, który nie mogąc z powodu odmrożenia nóg, podróżować daléj— prosił mnie na wszystko, abym go zabrał z sobą. Trudno było biédakowi odmówić, przyjąłem go więc do moich sanek, i tak ruszyliśmy do Aleksoty.

Pod górą, drogę znaleźliśmy zupełnie armatami i wozami ammunicyjnymi zawaloną, a że koń mój po francuzku, gładko bez gryfów kuty, w żaden sposób wziąść się pod górę nie mógł, otóż ruszy-

lem nazad, i po za górze ledwo, mimo celnéj komory, wąziuchną drożyną wdarłem się na wierzchołek. Za moim przykładem i wielu innych pojechało tą drożyną,— a tak już od Aleksoty, aż do Warszawy jechaliśmy w kompanji. Równo z zachodem słońca stanęliśmy w Kalwarji i wachmistrz nasz furgonowy z kassą, chciał koniecznie tam przenocować, lecz ja się nie zgodziłem na to, wiedząc dobrze, że lada chwila przypędzą za nami Kozacy; otóż usłuchano mojéj rady, i po niedługim wypoczynku ruszyliśmy w dalszą drogę. Po kilku dniach dość szczęśliwéj podróży, stanęliśmy nakoniec w Warszawie. Ja, zostawiwszy kollegę mojego Kapitana Smażewskiego w Szczuczynie, przybrałem sobie nowego kompana, a mając jeszcze w zapasie parę-set dukatów, postanowiłem wynaleść sobie wygodną kwatérę. Piérwszą naszą wycieczką, jakąśmy zrobili na miasto, było odszukanie porządnéj restauracji; lecz gdyśmy zaszli do Rozengarda, gdzie się zbierał zwyczajnie cały lepszy ton młodzieży warszawskiéj, takeśmy się podetonowali ich wykwintnością (*), że nie bawiąc długo wymknęliśmy się z tego hotelu, a postrzegłszy na tejże ulicy jakąś garkuchnię z malowaną pieczenią na szyldzie, tutaj zaszliśmy się posilić. Nie wytworne, lecz czysto zrobione potrawy, do tego jeszcze uprzejma gosposia P. Gorecka ze swoją ładną Marcysią, tak nam

(*) Ja byłém ubrany w białe barany i żydowską z uszami czapkę,— a kollega mój w ruski sarafan.

się podobały i ujęły...— iż tegoż jeszcze dnia przenieśliśmy się do nich na mieszkanie 6).

Z Warszawy, zabawiwszy tam ośm niedziel i sporządziwszy już sobie dostateczne ubranie, w zupełnym porządku udaliśmy się pod Poznań.

1813, 1814.

Pułk nasz stanąwszy na kwaterze w Kościnie, zaczął się ze ściągających zewsząd rozbłąkanych ułanów nanowo organizować, a gdy już mieliśmy dokompletowaną liczbę ludzi i wszelkie wojenne zaopatrzenia— ruszyliśmy przez Prussy, Księztwo Hanowerskie, Brunswickie, Hessen-Kaselskie do Saksonji. Tutaj po raz piérwszy pod Gross-Geuchen, niedaleko Lützen, stanęliśmy znowu do walki z nieprzyjacielem. Napoleon na czele 115,000 armji odniósł zwycięztwo nad Prussakami i Rossjanami, i nazwał tę bitwę, wznawiając pamiątkę Gustawa Adolfa, Luceńską. W ślad za jedną wygraną, u-

wieńczyliśmy się nową świetną porażką Sprzymierzeńców w bitwie pod Bautzen. Nakoniec Napoleon potrzebując zwłoki, dla sprowadzenia z Francji posiłków, prosił strony wojujące, o wstrzymanie kroków nieprzyjacielskich.

Zawieszenie broni trwało od 4 Czerwca do 10 Sierpnia. Po upłynieniu rozejmu, Cesarz Austrjacki piérwszy oświadczył podniesienie oręża przeciwko Francji.

Wojska nasze ruszyły za Elbę w liczbie 200,000, spodziewając się, iż zastępy nieprzyjacielskie w téj części najsilniejsze zajmują stanowisko; jakież jednakże było nasze zadziwienie, kiedy posłane patrole, nikogo nie napotkały, a tylko dowiedziały się, iż cała sprzymierzona armja ruszyła pod Drezno i zaczęła je bombardować. Nie czekając ani jednéj chwili, przeprawiliśmy się przez Elbę, a dociągnąwszy pod fortecę Königsztejn, i otrzymawszy tam rozdaną nam na dwa dni żywność— ruszyliśmy daléj z niezwyczajnym pośpiechem. Jeszcześmy nie odeszli na strzał armat pozycyjnych, zasłaniających nas z fortecy, gdy raptownie rozpoczął się ogień ręcznéj nieprzyjacielskiéj broni;— uformowani w linję, robiliśmy odwrót z tego tak niebezpiecznego miejsca, lecz nimeśmy się zeń pośpieli uchronić, granaty kongrewskie tak straszliwie nas naścigły, iż w przeciągu kwadransu straciliśmy kilkaset ludzi. W moim plutonie legło dwónastu żołnierzy, a na mnie samego granata kongrewska, tak celnie była wymierzoną, iż gdyby nie koń mój, który przestraszony tą,

z ognistym ogonem kulą, odskoczył z tego niebezpiecznego punktu — pewnobym w same piersi był ugodzony.

Tymczasem zaczęło już nieco zmierzchać, ogień jak z ręcznéj broni, tak i z dział,— z powodu rzęsistego deszczu,— powoli ustawał, a my posunąwszy się daléj, w nieco bezpieczniejsze miejsce, zsiedliśmy z koni, i trzymając je w ręku, ułożyliśmy się do spoczynku. Dészcz przez całą noc straszliwie nam dokuczał;— nazajutrz także, z powodu ulewy, aż do południa zostawaliśmy na miejscu, i tylko ku wieczorowi pojechaliśmy do poblizkiéj wsi, dla nakarmienia koni. Noc i dzień następny przepędziliśmy znowu na polu pod Königsztejnem i tylko czwartego dnia, kiedy się już nieco wypogodziło, posunęliśmy się daléj; ogień ręcznéj nieprzyjacielskiéj broni znowu się rozpoczął i trwał, aż do wieczora, to jednak zupełnie nie zawadzało w naszym pośpiesznym marszu.

Napoleon tymczasem otrzymawszy dnia tego zwycięztwo nad armją Austrjacką pod Dreznem,— dla ścigania różnémi drogami uchodzącego nieprzyjaciela, wydał rozkaz Jenerałowi naszemu, Wandammowi, aby ten ze swoim korpusem na górze, niedaleko wsi Kulm, oczekiwał do następnego rana, nim cztérnasty korpus, którym sam dowodził, nadciągnie. Wandam jednak, chcąc zrobić siurpryzę Cesarzowi, z całym swoim korpusem spuścił się z góry, w nadziei, iż 14 korpus, za przybyciem zasłoni go baterją z wierzchołka, a sam tymczasem

uderzy na nieprzyjaciela. Ale się inaczéj, niestety, stało! Napoleon, będąc pewny, że korpus nasz stojąc na górze nie przepuści nieprzyjaciela, przeciągnął nieco swoje przybycie; sprzymierzeni zaś tymczasem, rozpoznawszy położenie Wandama, uderzyli nań całą siłą— i nanieśli nam tak straszliwą klęskę, iż z całego korpusu, ledwo kilkanaście tysięcy tylko, czepiając się po górach i przepaściach, ratowało się ucieczką — Jeneral Wandam z dziesięcią tysiącami dostał się w niewolę.

Po batalji pod Kulmem, wojska nasze udały się traktem wiodącym ku Dreznowi. Głód kilkodniowy i wycieńczenie sił przez te ciągłe obróty, wśród skał i przepaści, zmusiły nas nareście szukać chwilowego wytchnienia przed dalszą drogą. Jakoteż, brygada nasza pod dowództwem Jenerała Monmari, zalokowała się w pewnéj wsi dużéj pod lasem, i w tém, jak się zdawało, miejscu dosyć bezpiecznem, miała przez dni kilka wypoczywać. Inaczéj się jednak stało. Ledwośmy przybyli do wsi, uwiadomiono Jenerała, iż oddział nieprzyjacielski przyczaił się z drugiéj strony lasu i zbiera się do zadania nam porażki. Jeneral niezwłócznie posłał officera włoskiego na czele dwónastu ludzi; lecz że las był długi, bo na mil kilka się ciągnął, i śród krzaków i jodeł odwiecznych droga tak wązko winęła się po lesie; Włoch nie przebywszy jéj półowy, powrócił z niczém; a na miejsce jego wysłany był officer francuzki. I ten jednak nic nie poradził. Nareszcie polecono Półkownikowi Łubińskiemu, aby

wybrać którego z naszych i zrobić ostateczną próbę, azali nie można przedarć się przez tę nieprzebytą puszczę. Półkownik przyzwał mnie do siebie i polecił tę wycieczkę, dodając, iż „tu chodzi o honor naszego narodu, czego Włoch i Francuz nie dokazali— niechaj to będzie czynem mężnego Polaka!" Obiecawszy Półkownikowi, że, czy przejdę puszczę, czy zginę w jéj przepaściach,— honoru mojego nie odstąpię,— wybrałem sobie dwónastu żołnierzy, i równo ze świtem pośpieszyłem w głąb lasu. Gęste konary odwiecznych świerków i jodeł, spadające aż do ziemi, do tego jeszcze nieprzejrzana śród gęszczy ciemność— tak straszliwą i niepodobną do przejścia robiły tę kilkomilową puszczę,— iż gdyby nie to słowo, przytwierdzone prawością i honorem Polaka, pewnobym zaniechał przedsięwzięcia i wrócił do swoich, z niczém. Ale zapał młodzieńczy przemógł wszystkie przeszkody i niepodobieństwa,— bez myśli i bez rozwagi darłem się przez gałęzie i krzaki, a kiedym odetchnął i wstrzymał mojego konia,— byłem już na odkrytéj łące, za którą wśród zarośli widniał brzeg lasu. Tutaj zostawiłem swój oddział, a sam pomknąłem na przyległy wzgórek, aby rozpoznać pozycję miejsca. O kilka kroków od siebie, dostrzegłem na rzeczulce płynącéj w lesie rzucony mostek; domyślając się więc, iż nieprzyjaciel jest w pobliżu, wróciłem do swoich i ujrzałem cofający się, przedemną przybyły na zasadzkę, oddział kawalerji Rossyjskiéj. Nie tracąc ani chwili, zakomenderowałem czwórkami moich żołnierzy i w minut

kilka przebyliśmy rzeczkę, a zrujnowawszy niezbity gwoździami mostek, który bystra woda poniosła, byliśmy oddzieleni od nieprzyjaciół. Rossjanie zaczęli z tamtéj strony posyłać wystrzały do nas, lecz my puściwszy konie, śpiesznym kłusem umknęliśmy od nich, i po niedługiéj chwili wróciliśmy się do swoich. Zniecierpliwiony Generał wybiegł na spotkanie moje dopytując o siłe nieprzyjaciela. Uspokoiłem go, zapewniając, że oddział nieprzyjacielski może się składać najwięcéj z sześciuset koni, i to bez armat i dostatecznéj broni; w umocnienie czego, podałem na piśmie raport, który, w razie zawodu, byłby świadectwem na moją odpowiedzialność. Nazajutrz więc wojska nasze zrobiły wycieczkę na tę garstkę nieprzyjacielską, ale ta tak zręcznie umknęła przed nami, iż tylko furaż z kilką ludźmi był zabrany,— a ci upewnili, iż oddział ich składał się tylko z pięciuset ludzi. Tak raport mój nie zawiódł Generała— i za to obiecano mi krzyż w nagrodę.

Ostatnią i rozstrzygającą los kampanji téj bitwę stoczyliśmy pod Lipskiem. Nasze wojska stanowiły ledwo połowę siły nieprzyjacielskiéj, jednak to nas nie zastraszało zupełnie;—jak lwy rzucali się tu starzy wojownicy na tysiączne zastępy i trupami zaścielali rozległą równinę, ciągnącą się pod miastem. Niestety jednak los i tą razą uległ smutnéj katastrofie! W czasie bitwy saskie wojska, utrzymujące arjergardę, zdradziły Napoleona przechodząc na stronę sprzymierzeńców. Cesarz więc nie czekając

zupełnéj porażki, przedwcześnie przebył z wojskiem na drugą stronę rzeki Elstry. Francuzi tymczasem zapominając arjergardę, pozostałą na tamtéj stronie,— most wysadzili, a tak Magdonald i Poniatowski odcięci od reszty armji, stali się smutnemi ofiarami nierozważnego pośpiechu.

Po nieszczęśliwéj bitwie pod Lipskiem, Napoleon cofnął się ku granicom Francji, lecz i tu na wybrzeżach Renu nowe spotkał oparcie się ze strony Bawarczyków. Wyczerpnąwszy wojenne zasoby, trudno było stawać do walki z tą niemiecką zasadzką,— wydał więc rozkaz cofnięcia się, zmierzając w kierunku ku Hanau — i tędy tylko, zbiwszy słabe zastępy nieprzyjaciół, przez Frankfort, pod Moguncją, przeszliśmy za Ren do Francji.

Półk nasz udał się prosto do swojego garnizonu w mieście Sedan, i tutaj (*) z przybywających szczątków wojska polskiego i z naszych trzystu koni, zaczęto komplet formować nanowo: żołnierzy cokolwiek nam dano z niewolników austrjackich, a konie, po które ja byłem komenderowany, otrzymaliśmy z Nancy (**).

(*) Za przybyciem do Sedan, sporządziliśmy wspaniałe exekwije za duszę ś. p. Księcia Józefa Poniatowskiego. Z każdego półku armji Księztwa Warszawskiego, wybrano po jednym officerze i cztérech żołnierzy, którzy na czele całego sztabu zgromadzili się do świątyni, w bogaty kir ubranéj — by oddać ostatnie pożegnanie swojemu ukochanemu wodzowi.

(**) Tutaj niegdyś nasz Król St. Leszczyński zakończył życie i w kościele tamecznym zwłoki jego złożone.

1814 r. Januarji 1 dnia, po solennem nabożeństwie, opuściwszy Sedan, udaliśmy się wprost przez Szarlewil do Wersalu; tutaj już przyszedł rozkaz reformowania armji, w taki sposób, iż z dwóch półków robiono jeden, a nasz ósmy wcielono w siódmy półk polsko-francuzki; Półkownik więc Łubieński, nie mając komendy, podał się w odstawkę, a że siódmym miał komenderować Major Juppe, który w inną stronę był posłany— przeto, chociaż liczyliśmy się w 7mym półku, jednak nas wcielono do korpusu Marmonta.

Przybywszy do armji pod dowództwem Marmonta, odbyliśmy drobne utarczki pod Troa, Leon, Rems, Soason, i stanęliśmy nareszcie pod Bery-o-bag; ztąd mieliśmy bronić tymczasem Paryż od napaści sprzymierzonych. Przez trzy dni żadnych się poruszeń nie dawało postrzegać, naresztę czwartego uderzono na nas; korpus Marmonta nie mając artyllerji, był bardzo słabym, musieliśmy się więc rejterować pod Paryż. W tym odwrócie secinami nas brano w niewolę, w liczbie ich i ja, raniony przez Kozaka, zostałem niewolnikiem nieprzyjacielskim, 10 Marca 1814 roku.

To był kres zawodu mojego i nadziei moich, co tak świetnie niegdyś wiały z pod chorągwi tryumfów Napoleona. Porwany tłumem rozhukanego żołdactwa, odarty ze znaków służby, które mi zamieniono kozackim szynelem i czarną szlafmycą,— tegoż jeszcze dnia stawiony byłem, jako delikwent, przed Generałem rossyjskim. Ten dawszy mnie

kilka zapytań na konto służby mojéj i stanu armji Marmonta, odesłał mnie pod straż Kozackiego pólku, zalecając pilny i szczególny nadzor, jako nad officerem nieprzyjacielskiego wojska. Tak się jednak szczęśliwie stało, iż Major komenderujący tym pólkiem, znał się z moją familją na Litwie, więc nie tylko, że delikatnie i grzecznie ze mną się obszedł, lecz jeszcze zaprosiwszy do siebie na sutą wieczerzę, wychylił wspólne kielichy wina. Nazajutrz równo z brzaskiem armja rossyjska zaczęła się ruszać, a jeńców oddano pod straż Prussaków korpusu Blüchera. W przechodzie naszym pomiędzy armją nieprzyjacielską często Baszkiry przyskakując i najeżdżając końmi niewolników, smagali ich długimi bizunami, jaki los zapewnoby i mnie spotkał, gdyby nie mój siny szynel, co barwą i krojem swoim obudzał w nich sympatję i wstrzymywał wymierzane razy.

Przebywszy takie i tym podobne koleje, przymaszerowaliśmy nareszcie do Niemiec. Generał-Gubernator Pruski, postrzegłszy na nas dwóch barwę polską, zapytał się officera konwojującego, dla czego Polaków prowadzono, wtenczas, gdy jeńców wszystkich sprzymierzonych narodów uwolniono Manifestem; rozkazał przeto dać nam tymczasowe officerskie kwatery i nazajutrz przygotować pasporta, dla udania się do Poznania. Jakoteż otrzymawszy papiery, niezwłócznie pośpieszyliśmy w dalszą drogę, a przebywszy Xięztwo Poznańskie

i Departament Łomżyński, udaliśmy się każdy w swoje strony.

Po siedmiu leciech nareszcie powitałem ojczyste progi. Uczucie miłości synowskiéj, odetchnienie powietrzem rodzinném, nagrodziło mi nieuiszczone nadzieje. Dziś zaś, kiedy już wieniec domowy otacza moje sędziwe skronie,— nie tęsknię ani wyrzekam za niezwrótną przeszłością, a tylko wyznając wolę Najwyższego, w cichéj błogości posyłam wspomnienia za minionym zawodem.....

Koniec.

PRZYPISY.

PRZYPISY.

1) Wybitnym zarysem ówczesnego zapału żołnierzy Napoleona może być wypadek, jaki się mi zdarzył w czasie bytności naszéj w Burgos. Dnia pewnego, kiedy kilku nas Polaków zebrało się na billard—i ja z kollegą moim rozegrywałem pulkę o stawkę pieniężną, w tejże chwili weszli do hotelu dwaj kanonjerowie konni od gwardji: jeden z nich był wzrostu wysokiego, silnéj budowy i surowego oblicza, drugi zaś pomiernéj urody, twarzy śniadéj, przyciemnionéj jeszcze bardziéj cztérocalowymi wąsami— na ręku miał znaki piętnastoletniéj służby, a w ruchach postawy odbijał tę rubaszną i hazardowną śmiałość, co tak dobrze cechują lekkomyślność Francuzów. Jakoteż, ledwo weszli do hotelu, jeden z nich wyższy kanonjer zbliżył się do nas, i wziąwszy leżącą bilę »przepraszam, rzekł, moich panów, iż grę im przerywam, lecz żeśmy z kollegą moim zrobili pewny zakład, musiemy więc, dla rozwiązania onego, zagrać jedną partję."—I my nawzajem, odrzekłem z ironją, przepraszamy, iż w téj chwili uczynić im téj dogodności nie możemy, gdyż właśnie sami rozegrywamy pulę, o stawkę pieniężną,— że zaś przed skończeniem partji, nikt ją przerywać nie może, o tém się państwo łatwo poinformujecie w Réglamencie tego hotelu. »My nie czytać te szyfony a grać w billard tu przychodzim;"—odrzekł zuchwały Francuz, i zabierał slę już rozpocząć partję; lecz w tęż chwilę kollega mój

z impetem przyskoczył do Francuza i począł mu wyrywać bilę z ręki — ten się opierał silnie, a ja tymczasem ująwszy drugą bilę, tak silnie cisnąłem mu w piersi, iż ten z ręki upuścił trzymaną bilę, i odwróciwszy się do mnie, rzekł: »Pan mnie obraziłeś, otoż potrzebując satysfakcji, wyzywam go na pojedynek.“ Z ochotą przystałem na to jego wyzwanie, a zamieniwszy nawzajem warunki pojedynku, po ukończeniu partji, rozeszliśmy się każdy w swoją stronę.

Dzień następny był terminem naszéj rozprawy, jakoteż o naznaczonéj godzinie zeszliśmy się do tego samego hotelu — ja obrałem sobie za sekundanta kollegę mojego Adamowicza, Francuz wczorajszego swego towarzysza, i wychyliwszy wspólne kielichy wina — ruszyliśmy za miasto. Na samym już wstępie postrzegłem, iż przeciwnik mój nielada jakiéj był zręczności i siły, gdyż wymierzając ku mnie w różnych kierunkach ciosy, za każdym razem tak trafne robił *wolty*, to jest krok w prawo lub w lewo jedną nogą, a drugą na miejscu zostawując, iż niepodobno było staropolskim zwyczajem po uchu lub policzku krésą go naznaczyć. Użyłem więc sposobu niemieckiego, *manszeten hib*, to jest, obcięcia ręki,— a puściwszy z dołu w górę naodlew pałasz, który w takim razie sprawia burczenie i nie daje przeciwnikowi upatrzyć pewnego punktu — tak zręcznie nim odwaliłem wielki palec ręki przeciwnika na giffesie leżącéj, iż mój mężny Francuz oręż z ręki wypuścił, a sekundant jego chciał ze mną stanąć do rozprawy. Nie zgodziłem się jednak nowy pojedynek z powodu znacznéj fatygi rozpoczynać, odkładając go na dzień jutrzejszy; lecz towarzysz mój, zapalczywy Mazur, stanął za mnie do walki, i po niedługiéj chwili, przeciąwszy Francuzowi rękę wyżéj łokcia — otrzymał także zwycięztwo. Obwiązawszy zadane blizny obu rannym i pogodziwszy się z nimi, wróciliśmy do Burgos. Za przybyciem do miasta, powiedziano mi, iż Francuz, z którym pojedynkowałem, jest fechmistrzem półku kanonierów, i że od jego ręki dziewięć już osób zginęło w pojedynku.

2) Było żądaniem Napoleona, ażeby Cesarzowa, która od niejakiego czasu rzadko bardzo ukazywała się w gronie dworskich zgromadzeń, towarzyszyła mu w téj uroczystości. Jakoteż Józefina po raz ostatni przed nastaniem rozwodu, ukazała się w całym blasku swéj dostojności w katedralnéj trybunie. Po skończonéj cere-

monji Cesarzowa w karécie powracała jedna, a Cesarz obok karéty po prawéj stronie szedł pieszo. Właśnie gdy Cesarstwo przybyło w bramy Tulieryjskiego pałacu, my uszykowani na placu, widzieliśmy całą tę paradę i podziwialiśmy blask i wytworność ich otaczające. Karéta złocona, w któréj jechała Józefina, snycerskiéj roboty i z koroną cesarską ubraną w pióra, na wierzchołku jéj umieszczoną, ciągniona była ośmią bułanymi andaluzskiéj rassy końmi — one były zaprzężone parami i prowadzone przez masztalerzy — bogate szory i strusie trzy-kolorowe pióra, oznaczające kokardę francuzką, świetnie je zdobiły. Ubiór Cesarza składał się z ciemno-bronzowego, w kroju hiszpańskim, krótkiego płaszcza, trykotów cielistych i złoconych czyżmów; miecz u boku ozdobiony kosztownymi kamieniami, zawieszony był na łańcuchu złotym nadzwyczajnéj grubości, idącym przez plecy, — pod pachą miał kapelusz hiszpański z piórami, a czoło Napoleona otaczał laur bogaty.

3) W przechodzie naszym z Francji do Hiszpanji, kiedyśmy dnia pewnego stanęli w miasteczku francuzkiém Angulem, następne nas tam spotkało wydarzenie. Jeden z naszych żołnierzy mając sobie przeznaczoną kwaterę u pewnego tamecznego stolarza, przyszedł do niego z biletem i prosił o gościnę dla siebie — hardy Francuz zajęty swoją robotą, nie zdawał się z początku zważać na jego przybycie, lecz kiedy żołnierz usłyszawszy z podwórza wezwanie trębacza na branie furażu dla koni, w pośpiechu położył swój mantelzak na komodzie — rozjuszony gospodarz z największą passją uchwycił mantelzak i wyrzucił go za okno. W tejże prawie chwili nadeszło kilkunastu innych żołnierzy; ci widząc krzywdę przyczynioną swemu kolledze od hardego stolarza, zaczęli go okładać furażerstrykami; przestraszony Francuz wybiegł wołając ratunku — mieszkańce z całéj ulicy uzbrojeni w siekiery, widła i noże, zbiegli się na pomoc — Polacy też wszyscy zebrali się z odsieczą. Nastało silne starcie się, — nasi rozpędzili wezbrane tłumy, wrzawa rozniosła się po całém mieście, i na bęben miejskiego dobosza oddział francuzkiéj piechoty, idący także do Hiszpanji, przybiegł na sukurs mieszkańcom. Po niedługiéj chwili rozbroiliśmy i tych rycerzy — potém żandarmy stawili nam czoło, ich również podobny los spotkał — a tak wygrana została przy Polakach. Komendant nasz tymczasem

dowiedziawszy się o téj straszliwéj akcji, rozkazał trębaczowi zwołać swoich żołnierży, a gdyśmy stanęli na placu, w obec miastowego Mera wytoczyła się sprawa. Z obu stron ozwały się parcia. Francuzi przedstawiając rannych, koniecznéj domagali się satysfakcji,— na tém się wreszcie skończyło, iż z każdéj strony po trzech winniéjszych wybrano i osadzono w areszcie, a raport z wywodem całéj téj sprawy posłano przez telegraf do Paryża. We trzy dni otrzymano przez tenże telegraf rozwiązanie Cesarza. Polaków, jako mniéj winnych, rozkazano uwolnić — a wyuzdanych Francuzów, nieumiejących zachować gościnności dla własnego wojska, sądzić krajowém prawem.

4) Drugi z kolei pojedynek odbyłem z kollegą moim A* w Tylży. We Francji, za pewną miłośną sprawę, wyzwał on mnie na pojedynek — przystałem na ony, z tym tylko warunkiem, ażeby się starć bez świadków, i dopóty się rąbać, aż którykolwiek z nas padnie ofiarą z ręki przeciwnika. A* nie przyjął tego warunku, pojedynek był odłożony na czas dalszy, dla ostatecznego namysłu — a wojsko nasze wyruszyło tymczasem na kampanję Rossyjską. W Tylży A* przyszedł do mnie, powiadając, iż się zgadza na podane warunki pojedynku — poszliśmy za miasto na pole rowami okopane, i tam po kilkunastu żwawych starciach się, obrąbawszy mu rękę, otrzymałem wygranę. Zdarzyło się, iż stryj mój, spotkawszy go późniejszą porą w Wilnie, spominając o mnie, spytał razem gdzieby tak wcześnie otrzymał bliznę — jakże się zdziwił, gdy mu A* odpowiedział: »w pojedynku z synowcem pańskim."

Z Tylży półk nasz udał się wprost do Wilna, a ja wziąwszy urlop pięcio-dniowy, pojechałem w powiat Upitski, dla odwiedzenia rodziców moich. Wieczór był poźny, kiedym wjeżdżał w rodzinną zagrodę — serce w tęsknéj uniosło się radości, witając te uświęcone pamiątkami młodości miejsca. Zmierzywszy więc moc własnego uczucia i porównawszy je z wzruszeniem, jakiego doznają rodzice moi witając utraconego syna — postanowiłem s początku ukryć moje nazwisko. Jakoteż przybywszy do domu w roli obcego officera, zapotrzebowałem dla przechodzącego wojska koni — ojciec mój gorliwie się zajął wydaniem onych, a matka gościnnemi mię raczyła słowy. Po chwili jednak uczucie synowskie, które się silnie w sercu ozwało, wymogło prawa

swoje — zaniechawszy więc dalsze koleje, uścisnąłem ręce drogich rodziców — wyznałem całą prawdę — a łzy radości i rozrzewnienia zrosiły moje nachylone czoło! Koniec wieczoru i następny ranek spędziliśmy na opowiadaniach i uniesieniach wzajemnych — trzeciego dnia miałem smutne spełnić pożegnanie; kochany więc mój ojciec, chcąc podzielić z innymi te chwile krótkiéj radości, zaprosił całe swoje sąsiedztwo do siebie. Wszyscy jakby słowo sobie dali, przyjechali z południa — cały wieczór spędzono na świetnéj biesiadzie, a nazajutrz równo z brzaskiem stały już przed gankiem moje odjezdne konie. »Błogosławię cię, mój drogi synu!" — wymówił ojciec, wciskając worek z dukatami w rękę — »Bądź zdrów, mój drogi Jasiu!" — zajęknęła matka przy rozstaniu — i straciłem ich wszystkich z oczu! Okropny to był ranek! Mało pamiętam podobnych, a żadnego takiego!

5) Nie możemy się nie podzielić z czytelnikami naszymi wrażeniem, jakiegośmy sami doznali przy czytaniu opisu przeprawy Berezyńskiéj, w świeżo wydaném dziele *Eustachego Hr. Tyszkiewicza.* w którém epizod pobojowiska, w najwyższym stopniu interesujący, mógłby posłużyć pisarzowi z talentem, za przedmiot do zajmującéj powieści. Z tym właśnie celem pomieszczamy go tutaj, jako zarazem mający związek z opisaną chwilą w *Pamiętniku.*

»Straszny i okropny był widok Sciudzionki po przejściu wojsk francuzkich. Wieś do szczętu spalona, mieszkańcy rozegnani, pola krwią zbroczone, trupem i rannymi niedobitkami usłane. Nie jeden z nich wołał ratunku! żebrał litości! ani ratunku, ani litości otrzymać nie było od kogo. Mróz srogi nielitościwie krępował i wyciskał z ciał ducha: ginęli mizernie ludzie, których może przeznaczeniem było żyć długo i pożytecznie, gdyby ich ręka litościwa od zguby zachować mogła. Wody w Berezynie podniosły się od nawału ludzi, koni, powozów i sprzętów, w nią w jednéj chwili, za jednym rozkazem, wrzuconych (dnia 27 Listopada). Okrutny los wojny w tym dniu strasznym porozdzielał żony od mężów, córki od matek, siostry od braci! Szczęśliwy, kto uszedł téj strasznéj śmierci! szczęśliwszy może, co w tym dniu zginął: bo skończywszy wszystkie cierpienia, nie czuł i nie widział, co się potém działo. Drobne dziatki, dziewczynki kilkoletnie, pozostałe od matek, w tym dniu potraconych,

błąkające się, zziębłe, zgłodniałe, przytułku szukające, dziwném losu zrządzeniem zostały w części ocalone; a choć różnemu ulegały powodzeniu, Bóg jednak czuwał nad sierotami: jedne z nich, szczęśliwsze, przyprowadzone lub przyniesione do domów obywatelskich, dostały się w ręce litościwe, gdzie przyjęte, w piérwsze potrzeby życia opatrzone, nie były odrzucone, i owszem zajęto się ich wychowaniem i przyszłością. Inne, a tych było nierównie więcéj, przez włościan na polu bitwy, na drogach publicznych błąkające się, zebrane, ogrzane i nakarmione, stały się przedmiotem handlu. Włościanie Borysowscy dziewczynki kilkoletnie przedawali po złotych polskich 10 i taniéj czasem, a dziatki drobne za bezcen zbywali. Ci, którym przedawano, obracali je na sługi, pokojówki, kawiarki i t. d. Między dzieweczkami, tak osieroconemi, przedawanemi, było niemało, jak się potém pokazało, dzieci wyższego urodzenia, bogatych i znakomitych rodziców; po niektóré z nich, jak się o życiu dowiedziano, z Francji w lat kilka potém przysłano. Inne, których pochodzenia nie odkryto, i których nie poszukiwano, zostały, i żyją dotąd w Litwie, wyrosły i nabrały obyczajów naszego kraju: zamąż powychodziły, za ludzi najczęściéj średniéj klassy, jako sług i officjantów. Te zgoła nie pomną swojéj ojczyzny, nie pomną wypadków, przez jakie przeszły, nie umieją swego języka; z opowiadania wiedzą tylko, że były niegdyś Francuzkami: że weszły z rodzicami do Rossji, w niéj utraciły rodziców, majątek i stanowisko towarzyskie, do jakiego mogły być z urodzenia przeznaczonemi.

Z tych niezwyczajnych wypadków z dziećmi, zbieranemi na brzegach Berezyny, dwa znajomsze w powiecie Borysowskim przytoczę.

Wnet po przejściu wojsk Napoleona przez Berezynę, *Leonard Sutowicz*, regent sądów Borysowskich, przywiózł do Pleszczenic, w kożuch własny uwiniętą, zziębłą i zgłodniałą, dwónastoletnią dziewczynkę, którą znalazł na polach Sciudzionki. *Zofia Hrabina Tyszkiewiczowa*, litością zdjęta, przyjęła ją na własną opiekę. Mała dziewczynka nazywała się *Marja Colau*: straciła matkę na Berezynie, miała ojca i dwóch małych braci. Oto wszystko, czego się od niéj, o niéj dowiedzieć można było. Marja-Colau, wzięta na opiekę, we wszystkiém narówni z dziećmi Pani Hrabiny traktowana, do równegoż udziału w pobieraniu

nauk i wychowania przypuszczoną była. Po czém przez lat kilka urosła w pięknie ukształconą panienkę. W r. 1817, dla ukończenia edukacji własnych dzieci, Pani Hrabina przeniosła się na mieszkanie do Wilna. Znaleziona cudzoziemka jéj towarzyszyła. Szczególniejszym trafem w Wilnie, podobnież na opiece u Pana Szostowickiego, były dwa młodé chłopaki, tegoż nazwiska. Bliższe badanie odkryło, że ci młodzi Colau, byli to utraceni bracia Marji. Ojciec ich, główny intendent aptek wielkiéj armji, po przeprawie przez Berezynę, utraciwszy żonę i córkę, z dwóma synami szedł za wielką armiją do Wilna. W Wilnie zachorował na gorączkę, z któréj umarł. Pan Szostowicki, będąc pod tę porę naczelnym nadzorcą nad wojennemi szpitalami, dwóch tych chłopców sierót, dla których już wszystko ze śmiercią ojca zginęło, przez litość do swego domu przyjął. Marja Colau przyjęła potém obowiązek guwernantki w domu obywatela Kowerskiego. Od Kowerskich u PP. Marszałków Zenowiczów. Pani Hrabina w ciągu tych lat podróż odbywała do Włoch, w któréj przez każdą stolicę, przez każde znaczniejsze miasto przejeżdżając, przez gazety ogłaszała o życiu Marji Colau. W 1824 roku, skutkiem zapewne tych ogłoszeń, poszukiwać zaczęto sieroty. Rozpoczęto w tym względzie korrespondencją z Państwem Zenowiczami, umówiono się o miejsce, czas, dzień nawet, kiedy po nią przyjechać miano. Królewiec na miejsce zjazdu przeznaczono. W Królewcu na dzień umówiony stawiła się jakaś matrona, z pojazdami, z dosyć licznym dworem, z Francji przybyła. Na dzień przeznaczony i Pani Marszałkowa Zenowiczowa do Królewca Marją Colau odwiozła. Tam ją pożegnała, i przybyłéj po nią matronie wręczyła. Odtąd, co się z nią stało, z pewnością niewiadomo. Ktoś ze znajomych ją widział prędko po jéj odjeździe z Litwy, we Florencji. Potém mówiono, iż wspaniałą exystencją tamże prowadzi: nakoniec z całéj okazałości, jaka ją po wyjeździe z Litwy okrążyła, wydobyto podanie: iż Marja Colau do krwi panującéj należy; że jéj wysokie urodzenie jakaś potrzebna tajemnica okrywała. Colau dobrocią, łagodném i słodkiém obcowaniem wszystkich sobie, gdzie mieszkała, zjednać umiała. Tak dawno z Litwy już wyjechała, a przyjazne wspomnienia dla niéj, w ustach jéj znajomych do dziś dnia dochowały się.

Drugie zdarzenie, wszystkim prawie znajome, jest następne: po przeprawie Napoleona dnia 29 listopada, z wojsk armji Czyczagowa, goniących za nieprzyjacielem, młody oficer, na trupie kobiety już skrzepłym, znalazł półtora roku mającą dziewczynkę, za pierś matki zgłodniała usteczkami chwytała. Obraz nieszczęśliwéj dzieciny ujął za serce młodego wojownika. Podjął dziewczynkę, i poniósł ją z sobą. Po piérwszém wzruszeniu litości, nastąpiła rozwaga. Oficer, nie wiedząc co począć z podjętą drobną dzieciną, niepewny przyszłości, jaka jego samego spotkać może, przy piérwszém zatrzymaniu się na odpoczynek wojska, które przypadło w Metliczycach, majątku dziedzicznym Pani Sędzinéj *Żyżemskiéj*, przyniósł to dziecię do dworu, opowiedział zdarzenie, jakiém tę dziewczynkę nabył, wręczył ją Pani Sędzinéj, złożył 100 rubli sr. na koszta piérwszego jéj wychowania, i prosił, aby to dziecię ochrzczono i imie Katarzyny dano. Sam poszedł w dalszą drogę. Spełniono życzenie rossyjskiego oficera. Po ustałych przechodach wojska, dziewczynkę na imie Katarzyna ochrzczono w parafjalnym kościele w Okołowie. Hodowano *Katarzynkę* w domu Pani Sędzinéj do lat dwónastu; z rzuconego dziecięcia wyrosła ładna dziewczynka, ale niewykształcona: nie pracowano bowiem nad jéj umysłowém udoskonaleniem; ale w miarę, jak podrastała, używano w domu Pani Sędzinéj do zwyczajnéj posługi. W 1822 roku w Wilnie, oficer niejaki z konsystującego tam wojska, zabrawszy znajomość z osobami z Borysowskich stron przybyłemi, dowiedział się od nich, iż to dziecię, przez niego zostawione, żyje i hoduje się dotąd; posłał natychmiast po nią, i wziął z Metliczyc, jako własność swoję. Odtąd Katarzynka znikła ze stron nadberezyńskich, i co się z nią stało nikt nie słyszał. W 1846 roku, proboszcz kościoła parafjalnego Okołowskiego otrzymał z poczty Petersburskiéj prośbę o wydanie metryki chrzestnéj dziecięcia, znalezionego na pobojowisku francuzkiém. Była to metryka Katarzynki. Prośbę podpisał półkownik *Hirse*.

Miasto Borysow, po zajęciu przez wojska rossyjskie, nader smutny widok przedstawiało: zniszczone, spalone, zawalone trupami: domy pełne rannych, chorych i jeńców z rozmaitych walczących przeciw sobie narodów. Porządek policyjny nie istniał jeszcze, a scisła karność wojenna nad zwycięzkiém żołnierstwem znacznie się zwolniła. Tłumy ludu bezbronnego, chorobą, głodem i zim-

nem zemdlonego, jak bydło w różne strony gnano: urodzenie, godność, wychowanie, a co bardziéj, uderzający widok obecnego nieszczęścia i okropnéj nędzy, żadnego względu nie miały. Niepodobna opisać okropności, w jakich bezbronni, mrozem i głodem znękani, francuzcy marodery, dognani po drodze, lub wydobyci z ukrycia po różnych miejscach życie kończyć musieli. Spędzeni do stodoł ze słomą, sami siebie podpalali, i tak ginęli. Oficerowie francuzcy, pozostali ranieni, chorzy lub wojennymi jeńcami, ci, którzy mieli o czém i do czego powracać, wrócili po ukończonéj wojnie do Francji. Żołnierze chorzy, marodery, rzemieślnicy półkowi, którzy do zdrowia wrócili, lub którym ludzkość mieszkańców przytułek i wsparcie podała, nie chcąc się ruszać z kraju, do którego ich polityczna burza zaniosła, zostali w nim na zawsze. Dobrze tym się powiodło niemal wszyscy użyci przy obywatelskich dzieciach, potém na nauczycieli w różnych domach postąpili, nakoniec wielu z nich publiczne po szkołach professorów języka francuzkiego zajmując posady, dosłużyli się rang i prerogatyw, ustawami dla szlachty krajowéj tylko dozwolonych. Było z nich wielu uczonych i biegłych w lekarskiéj sztuce doktorów, niemało dobrych rzemieślników i professionistów: stolarzów, ślosarzów, rymarzów, doskonałych mechaników i wybornych dystyllatorów. Borysow, opuszczony od Francuzów, napełniał się wojskiem rossyjskiém, które, nie zatrzymując się w mieście, na płytach urządzonych, (bo mostu nie było), Berezynę przebywało, i goniło daléj za nieprzyjacielem. Feldmarszałek Kutuzów wziął się z traktu w lewo i przebył Berezynę prawym brzegiem, przez Łohojsk na Mińsk, i poszedł do Wilna. W Borysowie naznaczone naprędce i zostawioe władze rossyjskie, nie były w stanie w tak krótkim przeciągu czasu i wśrzód takiego nawału ludzi i naglących potrzeb, zaprowadzić należytego porządku; rzeczy zatém szły, jak iść mogły, naturalnym biegiem: łazarety napełnione rannymi i chorymi, których na tysiące liczono; doktorowie i felczery pozostali, koło chorych pracować musieli: medykamenta i żywności tak dla chorych, jak i dla zdrowych, o ile można, dostarczano. Jeżeli mieszkańcy miasta sądzili, iż mają powody uskarżać się na ciężary na nich narzucane, powiat miał daleko większe bez porównania: bo nowe dostarczenia czynić i nowe wymagania zaspokajać musiał.

Szybkie pochody licznego wojska, nagłego i wielkiego dostarczenia potrzebowały.

Niedługo po przejściu Napoleona władze policji ziemskiéj zajęły się oczyszczeniem pobojowiska w Sciudzionce. Z całego powiatu nakazano dać ludzi, dla pogrzebienia ciał poległych i na oczyszczenie Berezyny z trupów, koni, sprzętów i pojazdów w nią wrzuconych. Ludzie spędzeni wzięli się do roboty: wyciągano z Berezyny karety i inne pojazdy i wozy, w różnym kierunku powywracane; z nich wydobywano kobiéty matki z małemi dziećmi nieżywemi: mamki, na ręku których niemowlęta się znajdowały potopione; wyciągano wojenne furgony, ambulanse, skrzynie ammunicyjne; grzebano w jednę mogiłę stosy ciał pobitych i potopionych, ludzi i koni. Wszystko, co się z wody wydobywało, po polu bitwy zbierało, lub przy nieżywych znajdowało, stawało się własnością niezaprzeczoną tych, którzy znachodzili; powozy obdzierano; pojazdy, a w nich znajdujące się bogactwa, sprzęty, klejnoty wybierano; ładowano ogromne bryki ammunicją, bronią wszelkiego gatunku, mundurami, siodłami i t. d., i do domów własnych odsyłano, bez zapytania lub zezwolenia jakiejkolwiek władzy. Długo po 1812 roku dwory obywatelskie, dwory szlacheckie, nawet chaty włościańskie były napełnione szczątkami rzeczy, należących do wielkiéj armji. Widzieć można było kawałki mundurów poprutych, doskonałe włóczki różnego koloru ze szlif i żołnierskich kordonów porozpuszczane, bez liku czerwonych kitek, kirysów, mnóztwo szpad francuzkich i pałaszów, krzyżów, książek, bomb, kul i tym podobnych rzeczy. Zegarki najdoskonalsze, małe serwisy stołowe, szklanne i porcelanowe, naczynia srébrne, pierścienie złote, kolce damskie, bogato złocone szpady, suto oprawne pistolety, za nic od włościan nabywano. Żelaza zaś różnéj postaci, jako szyny, obręcze od kół, obozowe młynki, osie od furgonów, i wszelkiego różnéj formy okucia, narzędzi rzemieślniczych, tak wielkie mnóztwo zebrano, że były takie pobliższe obywatelskie dwory, które na potrzebę domową przez lat dwadzieścia potém nie kupowały żelaza, obchodząc się francuzkiém, z pobojowiska uzbieraném. Jak w każdym zbytku, tak i w każdéj wielkiéj obfitości, człowiek się zapomina i marnotrawnie używa, nie pomniąc, że się obfitość każda wyczerpać musi; tak i tego dostatku w sprzętach, łatwo nagromadzonego, bez pracy i

starania nabytego, używano u nas marnotrawnie. Nie przeszło lat kilka, a dwory, tak zrazu zapaśne, nic prawie nie miały: cały sprzęt słabszy poprzerabiany, przeszyty, znoszono; żelaztwa wszelkie przekuto na naczynia gospodarskie; pałasze poszły na noże kucharskie, szpady na rożny, pancerze na patelnie, rurki od karabinów na podoski; tak znikł powoli ten ogromny, nieprzebrany na pozór, zapas pamiątek po wielkiéj armji. Do naszych czasów mało co doszło. Pozostały tylko w znacznéj ilości wojskowe ręczne bezmieny, i ręczne małe młynki do mełcia zboża z łemi, jako z użyteczném i potrzebném w codziennem życiu narzędziem, jeszcze się czasem w domu naszego obywatela spotkać można. Te zostały nieprzerobione. Takiego rodzaju były bogactwa, które z miejsca bitwy rozebrano. Bez porównania musiały być większe skarby, w Berezynie zatopione, dzisiaj już piaskiem zaniesione. Zrazu z niéj obficie dobywano mnóztwo bogatego sprzętu; poźniéj kiedyś wydobyto szkatułę z papierowemi pieniędzmi, rozumie się wodą zupełnie zniszczonemi. Inną razą dobyto marmurowe posągi, mocno uszkodzone. Dziś jeszcze czasem woda Berezyny wymywa na dnie, miejsca takich pokładów. Chłopcy wiejscy kąpiąc się często z piasku jakąś drobnostkę dobędą. Przed kilką laty jeszcze włościanin ze wsi Sciudzionki, kąpiąc się wydobył krzyż z łańcuchem: z miejscowego opowiadania o jego kształcie, wnosić należy, że to być musiała ozdoba duchownego dygnitarza, że był ze złota, to nie ulega wątpliwości: bo żyd, arendarz karczmy, najbieglejszy we wsi jubiler, wartość jego otaksował, dał włościaninowi za nią ośm rubli srébrem, nie licząc wódki, na traktament użytéj. Wnętrze ziemi, największe bogactwa w gotowych pieniądzach dotąd musi ukrywać. Francuzi w swoim z Moskwy odwrócie przewidzieli straszną dla siebie przyszłość. Zacząwszy od Smoleńska aż pod Wilno i daléj, w miejscach, które się im wydatniejszemi z niejakąś naturalną przyznaką zdawały, zakopywali pieniądze, w nadziei powrócenia kiedyś po nie. O takich skarbach w powiecie Borysowskim jest podań niemało: mówią o jednym pod Kochanowem, o bardzo znacznym pod Wesołowem, o takimże pod Ziembinem, pod Pleszczenicami. Po przeprawie przez Berezynę, bliżéj Wilna, kiedy odwrót wojsk francuzkich szybko i bez najmniéjszego porządku się odbywał, nie mając czasu kopać do zie-

mi, gdy konie w furgonach z głodu padały, rzucano otwarcie baryłki ze złotém. W Wilnie one się walały po ulicach. Ludzie przezorni, którzy o zabezpieczeniu swojéj przyszłości wówczas myśleli, takowe bezkarnie przyswajali: bo w rzeczy saméj, skarby te, nie należąc w téj chwili już do nikogo, nowego właściciela szukały; można je było bez obciążenia sumienia, bez najmniejszego skrupułu, przywłaszczać.

Mnóztwo wieści krążyło i krąży dotąd po borysowskim powiecie, o zakopanych francuzkich pieniądzach. Zamieniły się już one w podania gminne, zwiększone i okraszone dodatkami wymyśleń, wysnutych ze starych odwiecznych jakichś legend, i takiemi na zawsze już pozostaną. Nie jeden, miejscowém podaniem zachęcony, probował szczęścia: pruł ziemię, szukał czego nie położył, i wrócić musiał z niczém: gdyż nie było słychać, żeby ktokolwiek skarby odkopał. Niewiele lat temu przybysze jacyś zza granicy, jedni potajemnie, drudzy urzędowie za zezwoleniem i z pomocą rządową, mając mapki i opisanie miejsc, gdzie pieniądze były schowane, ziemię kopali, według rysunku z sobą przywiezionego szukali, nic wszakże nie odkryli, trzydzieści lat czasu pozmieniało miejsca i okolice tak dalece, że już sprawdzić z rysunkiem, ani z podaniami zgodzić nie potrafiono. Poszukujący właściciele wrócili tam, zkąd przybyli. Skarby, jeżeli je zakopano, zostały w ziemi dla szczęśliwszego może kiedyś.

6) Za przybyciem do Warszawy, kiedy kassa półku naszego nie była jeszcze rozpakowaną — proszono mnie, abym zaległy żołd officerom z moich pieniężnych zapasów tymczasowie opłacał. Z ochotą przystałem na tę kolleżeńską uczynność, i przez dni kilka rozdawałem potrzebującym należne im kwoty. Zdarzyło się, iż między innymi, przyszedł po pieniądze i Porucznik S*— ten nie chcąc otwarcie mi odkryć swojéj potrzeby, pod ogródkami tylko napomykał mi powód swego przybycia — ja, obcy wszelkiéj nieszczérości, zdawałem się jego nierozumieć; ztąd też S* rozjątrzony tą trudnością, począł mi robić różne kostyczne przycinki, jam mu podobną odpłacał monetą. Skończyło się na tém, iż gdym mu przypomniał ucieczkę jego od jednego Huzara pod Połockiem,— zapotrzebował ode mnie satysfakcji, i dnia następnego na Powązkach na Cmentarzu, w sali na to przeznaczonéj podczas zimy, odbyliśmy pojedynek. Przeciwnik mój był raniony w głowę

dość niebezpiecznie, gdyż pałasz przeszedłszy między mozgiem i czaszką, podjął jéj wierzchnią cząstkę — jednakże w zrobionéj operacji wyjęto tę ostrą kostkę — rana się prędko zagoiła — a między nami nastało pojednanie.

Koniec Przypisów.

Spis Rozdziałów.

Stronica

Przemowa III
Treść rzeczy V
Rok 1807, 1808 1
— 1809 17
— 1810, 1811 23
— 1812 31
— 1813, 1814 53
Przypisy 65

Dzieła wydane w Petersburgu, staraniem **Romualda Podbereskiego.**

Rocznik Literacki, pismo zbiorowe, ozdobione drzeworytami, litografowanemi portretami i muzyką, 1843. ROK PIERWSZY . . . . . r. sr. 2
— — 1844. ROK DRUGI . . . . . r. sr. 2
— — 1846. ROK TRZECI . . . . . r. sr. 2

Frenofagjusz i Frenolesty, powieść wyjęta z papierów niebożczyka *Pantofla*, a ułożona przez jego kuzynkę Eleonorę Sztyrmer. Ozdobiona 30 winjetami i drzeworytami, podług rysunków *Aleksandra Kocebue*, rzniętemi przez najpiérwszych Petersburskich artystów, jako to: Barona Klot'a, Deriker'a, Półkownika Masłowa i t. d. 1843 . . . . . sr. kop. 75

Miłość u Surgunta, opowiadanie humorystyczne i *zycie biednego Skowronka*, przyrodo-basń przez Ludwika Podbereskiego, oraz *Zycie Motylkowe*, podane do druku przez Pannę Rożę Podbereskę, z widokiem Druskienik, wiejskiego domku na Litwie; w ozdobnie litogr. okładkach, 1844 . . . sr. kop. 75

Panorama miasta Połocka, ze strony miasteczka Ekimanji, Obywatelstwu Białoruskiemu poświęcone przez wydawcę; z natur. rys. p. Alb. Minjatt'a, przerys. p. Alb. Zamett'a, odciśnięto zaś dwóma odcieniami na wielkim arkuszu w litografji paryzkiéj Pana Paul-Petit . . . . . r. sr. 1

Poezje Tadeusza Lady-Zabłockiego, z portretem Autora r. sr. 2

Wyjdzie z druku przed Nowym Rokiem:

Tom IV-ty **Rocznika Literackiego**, na rok 1849, pismo zbiorowe, ozdobione portretami, wydawane przez *Romualda Podbereskiego* . . r. sr. 2

Pamiętnik Naukowo-Literacki, pismo zbiorowe, na rok 1849, pod Redakcją *Romualda Podbereskiego* . . . . . r. sr. 1 kop. 50

Przygody człowieka nierzucającego cienia, fantastyczna powieść, w jednym tomie . . . . . r. sr. 1

Aerolit, przez *Ludwika Podbereskiego* . . . . . r. sr. 1

Przy Kominku, Gawędy Szlacheckie p. *Win. Kołłupajłę* . r. sr. 1

Krótki przegląd Dziejów W. X. Litewskiego, od początku aż do r. 1387; przez *Zegotę O'Nacewicza* . . . . . kop. sr. 50

Msza Swięta, wierszami, z klassycznych Pisarzy Polskich wybranemi, objaśniona. Ze wstępem o duchownéj poezji polskiéj *) . . kop. sr. 50

(*Wszystkie powyższe dzieła są w druku, i ktoby je wypisywał wszystkie razem, otrzyma bez kosztów przesyłki*).

Adress: *na imie Wydawcy, w Wilnie naprzeciw Botanicznego Ogrodu, pod Królewskim Młynem, w domie Dr. Czarnowskiego, lub do Księgarni pod firmą Józefa Zawadzkiego.*

---

*) **Dochód przeznacza się na rzecz Dobroczynności Wileńskiéj.**

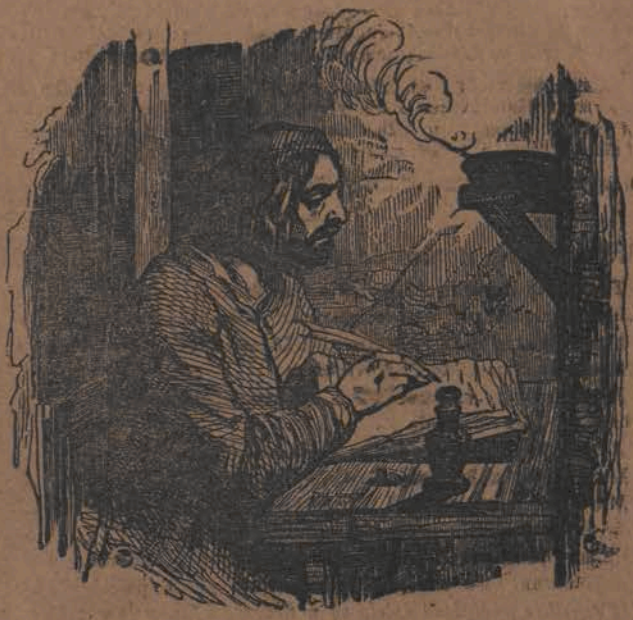

Cena exemplarza Rubel srebrem 1.